

Wychodząc naprzeciw sugestiom niektórych rozmówców postanowiłem spisać swoje wspomnienia. Uczyniłem to nie dlatego, aby moje życie zaznaczyło się czymś wyjątkowym, ale ze względu na czasy, w jakich przypadło mi żyć, a które z konieczności stały się moim udziałem.



KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA

Ks. Kazimierz Sierpowski WSPOMNIENIA nie całkiem kontrolowane



Ks. Kazimierz Sierpowski
WSPOMNIENIA
nie całkiem kontrolowane



WSPOMNIENIA

nie całkiem kontrolowane

Ks. Kazimierz Sierpowski

WSPOMNIENIA
nie całkiem kontrolowane



KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA

Wydanie jubileuszowe – Kuślin 2007

Projekt okładki
???

© Drukarnia i Księgarnia Świętego Wojciecha Sp. z o.o.,
Poznań 2007

ISBN 978-83-7516-028-4

Drukarnia i Księgarnia Świętego Wojciecha
Dział handlowy, pl. Wolności 1, 60-967 Poznań
tel. (061) 852 91 w. 86, w. 123, 129, fax w. 122
e-mail: sprzedaz@ksw.com.pl
www.ksw.com.pl
www.mojeksiazki.pl

Druk i oprawa:
Drukarnia Świętego Wojciecha
ul. Chartowo 5, 61-245 Poznań

PRZEDMOWA

Wychodząc naprzeciw sugestiom niektórych rozmówców, postanowiłem spisać swoje wspomnienia. Uczyłem to nie dlatego, aby moje życie zaznaczyło się czymś wyjątkowym, ale ze względu na czasy, w jakich przypadło mi żyć, a które z konieczności stały się moim udziałem. Najpierw okres międzywojenny, jaki przeżywało dziecko, nie w pełni potrafiące jeszcze oceniać sprawy ludzi dorosłych. Później nastąpiły lata drugiej wojny światowej, wraz ze wszystkimi jej okropnościami. Doprowadziła do tego obłądana ideologia nazistowska, której owocem były więzienia, rozstrzeliwania, wysiedlenia, obozy koncentracyjne.

Okres powojenny to z kolei doświadczanie zła ideologii marksistowsko-leninowskiej charakteryzującej się nienawiścią do wszystkiego, co Boże, religijne i nadprzyrodzone. Obydwa systemy łączyło podobne wrogie nastawienie do

Boga-Miłości, który nakazywał człowiekowi czynić dobro. Tymczasem zarówno nazizm, jak i komunizm dążyły do celu bez względu na środki do niego prowadzące.

Może moje *Wspomnienia* pomogą zrozumieć, że warto i dziś opowiadać się po stronie wartości, które daje wiara i których uczy Kościół i religia. Warto i dziś iść drogą, którą szli przodkowie, żyły nasze rodziny i którymi kierował się cały Naród. Na tej drodze każdy może odnaleźć własne powołanie, niekoniecznie takie, jakim ja żyłem.

KORZENIE

Człowiek – istota myśląca – zadaje sobie pytania: Dlaczego istnieje wszechświat? Jak to się stało, że w całym ogromie wszechświata zaistniała tak wyjątkowa, nieporównywalna do innych, błękitna planeta – Ziemia? Dlaczego na niej pojawiło się życie, dlaczego na niej jesteś ty i ja? Na te pytania nie znajdą odpowiedzi nawet największe umysły, jeśli szukać jej będą tylko na drodze zwykłego ludzkiego rozumowania.

Odpowiedź jest, ale przychodzi do nas z zewnątrz, od Tego, który może nam jej udzielić, od Boga i Bożego Objawienia. W Nim, w Bożym Objawieniu, możemy znaleźć odpowiedzi na tego rodzaju pytania. Odpowiedzi tam zawarte dla wielu ludzi stanowią wartości podstawowe.

Urodziłem się w rodzinie, która tymi wartościami żyła, starała się w życiu nimi kierować i ich bronić. Podobnymi wartościami kierują się i inne rodziny. Wiemy, że rodziny ze sobą spokrewnione tworzą rody, że na rodach, które kierują się podobnymi wartościami, mówią tym samym językiem,

mają wspólną historię, oparty jest naród. Tak się składa, że należę do rodziny, która licznymi więzami złączona została z narodem polskim. Jakie były początki naszego narodu, jaka jego historia tego uczy się każde dziecko w szkole. Wielu dziś stara się również poznać historię własnej rodziny, własnego rodu, poznać jego korzenie.

Korzenie mojego rodu, jak głosi rodzinna tradycja, sięgają głębokiego średniowiecza, bo czasów najazdu tatarskiego na naszą ojczyznę i bitwy pod Legnicą. Historycy wyjaśniają nam szczegółowo, jak do niej doszło. Wyjaśniają, że:

(...) bitwa choć przyniosła Polsce militarną klęskę, to zahamowała ekspansję tatarską i uratowała Europę i chrześcijaństwo od podboju mongolskiego. Otóż w roku 1206 liczne plemiona mongolskie zostały zjednoczone przez naczelnego chana Czyngis. Uniezależnił się on następnie od Chin, zorganizował sprawne konne armie, liczące dziesiątki tysięcy żołnierzy, i skierował nie tylko na podbój Azji, ale także wschodniej Europy. Czyngis-chan nazwał siebie Wysłannikiem Nieba i głosił: „cały świat od wschodu do zachodu słońca Wszchemocny oddał nam. Kto się nam podda, ocali siebie, żony, dzieci, bliskich. Kto zaś sprzeciwi się nam będzie, zginie”. Mongołowie szybko opanowali znaczne tereny Azji, a odznaczali się wyjątkowym okrucieństwem. W roku 1223 zadali dotkliwą klęskę książętom ruskim nad rzeką Kałką, a w latach trzydziestych XIII wieku dokonali podboju Rusi, narzucając jej swe zwierzchnictwo i obowiązek płacenia daniny.

W 1241 roku wojska mongolskie pod wodzą Batu-chana uderzyły na Polskę i Węgry. Wyprawa na Polskę, kierowana

przez wodza tatarskiego Pajdara, szła dwoma zagonami: jeden wzdłuż Wisły na Kraków i Śląsk, drugi przez Łęczycę, wschodnią Wielkopolskę na Wrocław. Próby rycerstwa małopolskiego stawienia Mongołom oporu pod Chmielnikiem i Tarczkiem zakończyły się klęską Polaków. Tatarzy spalili Kraków i Wrocław i niszczyli metodycznie cały kraj.

W rozbitej wówczas na księstwa dzielnicowe Polsce największe siły posiadał książę Henryk II, zwierzchnik Śląska, Krakowa, części Wielkopolski i Łużyc, który był mężem Anny, siostry króla Czech Wacława. Księciu Henrykowi podporządkowali więc swoje oddziały książęta wielkopolscy Bolko i Przemko, książę opolski Mieszko, książę Bolesław Wstydlivy z Sandomierza. Do obrony cywilizacji chrześcijańskiej włączyły się też oddziały górników złotoryjskich i rycerzy z zakonu templariuszy i joannitów, a nawet Krzyżacy z toruńskiego zamku.

Mimo wielkiej odwagi Polaków bitwa zakończyła się klęską, jej wódz książę Henryk II został śmiertelnie ugodzony dzidą. Szybko Tatarzy obcięli mu głowę, zerwali wszystkie insygnia i nagie, bezgłowe ciało pozostawili na polu bitwy. Ich okrucieństwo nie miało granic. Jak podaje Jan Długosz, po bitwie i zabraniu łupów, chcąc wiedzieć, jak wielka jest liczba zabitych, każdemu martwemu żołnierzowi ucięli ucho. Uszami tymi napełnili 9 worków po brzegi! Niosąc w górze głowę Henryka, podeszli pod zamek legnicki i zażądali jego otwarcia.

Gdy obrońcy zamku dali im odprawę, Mongołowie spalili wszystkie sąsiednie wsie. Dopiero w jakiś czas po bitwie matka księcia Henryka II, księżna śląska św. Jadwiga rozpoznała ciało swojego syna. Zwłoki tego wielkiego Polaka zostały przewiezione do Wrocławia i pochowane w kościele franciszkanów, a w miejscu ich znalezienia, na Legnickim Polu, św. Jadwiga

ufundowała kaplicę. Mimo klęski Polska pokazała całej Europie, jak bronić wartości narodowych i chrześcijańskich. Mongołowie osłabieni i wyczerpani walką z Polakami wycofali się już na zawsze na Wschód i zrezygnowali z wypraw i dalszych podbojów. Europa została ocalona. (W. Ś., *Legnickie Pole – miejsce śmierci Henryka II Pobożnego*, „Słowo Powszechne”)

Przytoczyłem obszerną relację współczesnego historyka o tych wydarzeniach, bo dopiero na ich tle uwiarygodnia się legenda przechowywana w naszej rodzinie. Otóż mój dziadek Ludwik przekazał ją w takich słowach:

W czasie najazdu Tatarów w 1241 roku rycerz wysłany konno z meldunkiem przez swojego dowódcę do innego dowódcy wojsk polskich został przez Tatarów pochwycony i poddany torturom. Ponieważ nie chciał wyjawić, od kogo i z jakim meldunkiem został wysłany, poddano go najcięższej torturze: jego ciało ściśnięto dwiema szczapami i powoli przepiłowano. Torturowany, mimo straszego cierpienia, nic nie zdradził. Nie wiadomo, jak Tatarzy ustalili, kim był i skąd pochodził. Udali się do wskazanej miejscowości, wymordowali starszych, a młodszych popędzili w jasyr. Tam też znaleziono dziecko, jednak nie ustalono, czy wypadło Tatarom, czy też świadomie je ktoś z zabranych w jasyr upuścił. Po dokonaniu oględzin przepiłowanego rycerza ustalono, że był on ojcem znalezionej niemowlęcia. Wycięcie osady nastąpiło z zemsty za to, że rycerz nic nie powiedział mimo okrutnych tortur. Powyższe zajścia miały miejsce w Sierpowie i dlatego starszy osady dał niemowlęciu nazwisko Sierpowski”.

Tak więc nazwisko, które bez moich zasług przypadło mi nosić, sięga czasów średniowiecza. Wzięło swój początek od miejscowości Sierpowo, położonej niedaleko Górki Duchownej. Taki najczęściej rodowód miały powstające wówczas nazwiska. Dokumenty źródłowe z drugiej połowy XV wieku, do których można było dotrzeć, potwierdzają, że w tym czasie Sierpowo i sąsiednie Olszewo należały do rodziny noszącej to nazwisko. W okresie późniejszym Sierpowo przeszło w inne ręce, prawdopodobnie Górków. W okresie tym nazwiska dopiero się tworzyły, ulegały zmianie w zależności od miejsca zamieszkania, np. Sierpowski *sive* Kokowski, ponieważ był też właścicielem Kokolewa, dzisiejszego Kąkolewa. Oprócz moich przodków zajmujących się uprawą ziemi, byli też i tacy, którzy mieszkali w Poznaniu, zajmując się różnymi zawodami, np. już w 1443 roku występuje we władzach miasta Wawrzyniec Sierpowski, piwowar, mieszkający przy ulicy Żydowskiej. W tym okresie i później Sierpowscy posiadali kamienice na Starym Rynku i ulicy Wronieckiej.

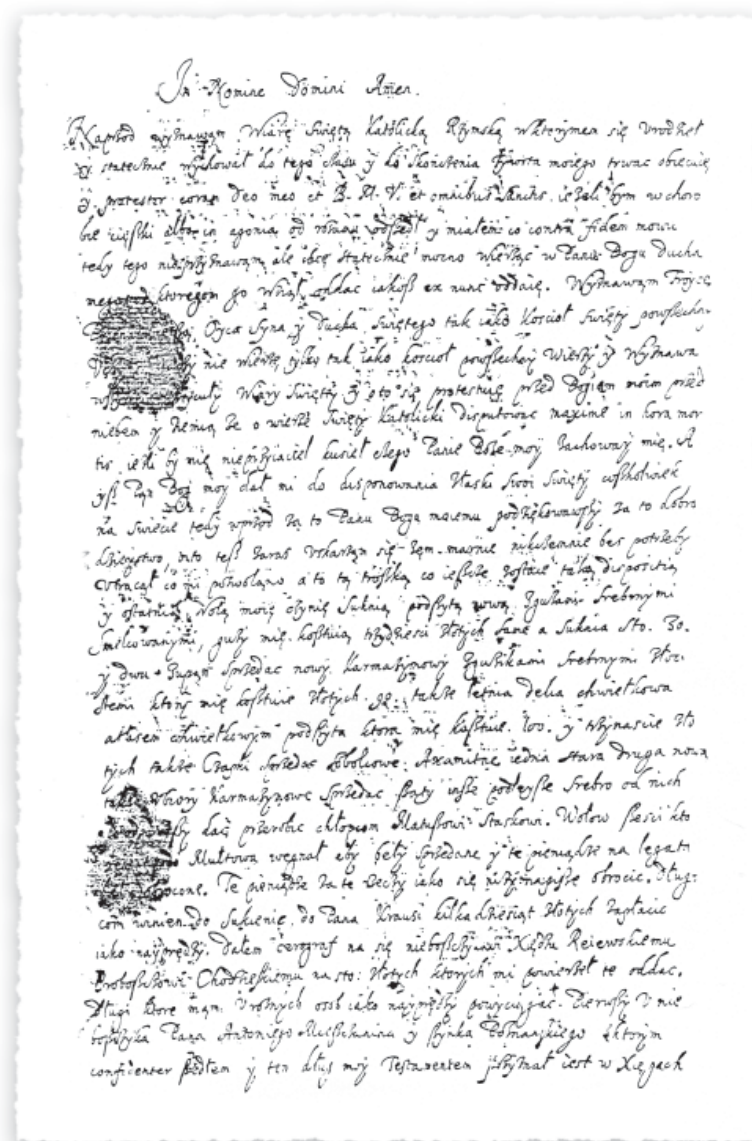
Brat Wincentego, właściciela Sierpowa, Mikołaj, który wstąpił do klasztoru Karmelitów w Poznaniu, został przez arcybiskupa Górkę wezwany do przebudowy kaplicy św. Leonarda i Stanisława w poznańskiej katedrze. Ksiądz prof. Józef Nowacki w notce zamieszczonej w książce *Dzieje Archidiecezji Poznańskiej* określa jego pracę słowem *fabricator* – twórca. Za zasługi w tej dziedzinie obdarzono go godnością kanonika. Widocznie nie spodobało się to współpracownikom

z klasztoru, bo urządzili najazd na Ostrów Tumski i zabrali go z powrotem na Wzgórze św. Wojciecha, do klasztoru. Kapituła w rewanżu za to rzuciła na nich klątwę.

Nie przysłużył się zbyt rodowi Łukasz, który na czele 76 rajtarów pobierał nielegalnie myto od zdążających do Poznania kupców. Pokonany przez oddziały miejskie i wzięty do niewoli został w 1546 roku skazany na banicję. Prawdopodobnie wówczas też Sierpowo przeszło w inne ręce. Pozbawieni własności ziemskiej błakali się moi przodkowie po różnych majątkach, najczęściej kościelnych, zarządzając nimi. Takim zarządcą był np. Piotr Sierpowski, który kierował majątkiem o.o. dominikanów w Umultowie pod Poznaniem. Zachował się po nim piękny testament z 1653 roku, którego fragment przytaczam:

Naprzód wyrażam wiarę świętą katolicką, rzymską, w której się urodziłem i statecznie wychowałem. Do tego czasu skończenia żywota mego trwać obiecuję i zaprzeczam wobec Boga, Matki Bożej i wszystkich świętych, jeźelibym w ciężkiej chorobie lub agonii od rozumu odszedł i miałbym co przeciw wierze mówić, wówczas się do tego nie przyznaję, ale chcę ostatecznie mocno wierząc w Panu Bogu ducha mego od którego wzięt oddać, ja-koż i teraz oddaję. Wyznaję Trójcę Przenajświętszą, Ojca, Syna i Ducha Świętego, tak jak Kościół Święty Powszechny też wierzy i wyznaję wszystkie artykuły wiary świętej...

Piotr pochowany został w podziemiach kościoła dominikańskiego, dziś jezuickiego.



Fragment testamentu Piotra Sierpowskiego z 1653 roku



Dom w Multowie (obecnie Umultowo)

Wspomnę jeszcze Walentego Sierpowskiego *sive* Sierpińskiego, fizyka i doktora medycyny, który w 1567 roku mianowany został przez króla Zygmunta Augusta jednym z trzech rajców królewskich miasta Lublina, których najważniejszym zadaniem było przygotowanie zjazdu szlachty litewskiej i polskiej na Sejm w celu zawarcia Unii Lubelskiej w 1569 roku.

Inny Sierpowski, prawdopodobnie brat Piotra – Stanisław, został w 1628 roku pierwszym proboszczem nowo powstałej parafii św. Rocha w Poznaniu. W 1635 roku Jan i Michał Sierpowscy byli jeszcze właścicielami kamienic w rynku w Poznaniu. Był też taki, który, walcząc u boku Opalińskiego ze Stadnickim, zwanym „diabłem łańckim”, dostał się do jego

niewoli. Niektórzy z moich protoplastów przenieśli się na wschodnie rubieże Rzeczypospolitej, zasilając szeregi szlachty galicyjsko-bukowińskiej, np. Tomasz i Kazimierz w 1782 roku przed Sądem Grodzkim w Przemyślu zweryfikowali swoje szlachectwo.

Moim prapradziadkiem był Wojciech, od którego bierze początek obecna linia wielkopolska. Urodzony w 1778 roku, zjawiał się na ziemi rawickiej w towarzystwie małego synka Jakuba. Pytany, skąd go ma, odpowiadał różnie, że znalazł go w zbożu albo że kupił od Cyganów itp. Ożenił się później z wdową Katarzyną Nowacką, właścicielką Resztówki, z którą miał jeszcze siedmioro dzieci, wśród nich był i mój pradziadek Cyprian, ojciec Ludwika.

Po Wojciechu zachował się ciekawy list z 1829 roku do arcybiskupa Ignacego Raczyńskiego, w którym bierze on w obronę parafian ze Szkaradowa przed zbyt krewkim i nie liczącym się ze słowami plebanem. Podpisali go także Wojciech Bielicki i Walenty Kubiński oraz krzyżykami szkaradowscy parafianie. Piszą w nim:

Powód jest nasz Xsiądz Proboszcz Grabowski. Ten Pan nie mówi do nas, jako Parafian swoich inksze słowa, tylko jak następuje: gdy się zdarza Chrzest, nie mówi jako Kapłan i Następca Chrystusa do będących Świadców inaczej, jak do Kobiet w Kościele będących wy Motyki. Gdy święta pora przeczyta w każdej niedzieli jest jego princip kpać nas a to jak następuje: a) wy Bysie, Gałgany, Kułtony, wy trupie głowy nie umiecie nic

odpowiadać, wy się do południa w Kościele modlicie, a po południu pić w karczmach a w nocy chodźcie stodoły rozbić. Takich Nauk w całym świecie nie słychano od Dobrodzieia, i to jest co nas powoła niniejszą prośbą Jaśnie Oświeconemu Panu do Nóżeg położyć z tem Zaufaniem iż Jaśnie Oświecony Pan nakazez powagą swoją aby Xiądz nasz Proboszcz Grabowski nie używał podobnych wyrazów przeciw Gminie Swoiej. Upraszałiśmy w imieniu całej Gminy niżej podpisani, aby Wielmożny Xsiądz nie lżył nas publicznie w Kościele, gdyż przestaniemy chodzić do Kościoła; odpowiedział nam na to, że idźcie do Diabła. Naszym zwyczajem jest jako Katolików, aby codzień chodzić do Kościoła, ale iak można ten Krok uczynić, gdyż nie mamy naszego Proboszcza Przyjacielem, do tego spowiedź Wielkanocna następuje, który nam ofiarował kłie zamiast Absolucyi. Jest to nam bardzo przykro, że Owieczki przeciwko swemu Pasterzowi wychodzą, ale powyższe punkta usprawiedliwiają nas. Oczekujemy iak nayłaskawszej Rezolucyi, i upraszając iak nayłaskawszą Dyferencją niniejszy Sprawy, głośimy się naywiększym Uszanowaniem Jaśnie Oświeconego Arcybiskupa.

Potomkowie Wojciecha i Katarzyny będą żenić się i za mąż wychodzić najczęściej w miejscowościach położonych niedaleko Rawicza. Dziadek mój, Ludwik, ożenił się z Teklą Poniecką w Grąbkowie, miał trzech synów i dwie córki. Wszyscy oni, Jan, Leon, Marcin i Helena, brali udział w Powstaniu Wielkopolskim. Bracia mojej Matki, Jan i Józef, byli również powstańcami. Józef będzie walczył także z bolszewi-



Rodzina powstańców wielkopolskich. Sierpowscy z Grąbkowa z dziećmi

kami pod Warszawą, gdzie po ich rozbiciu, dowodząc batalionem, popędzi ich aż za granicę pruską.

Ojciec ożenił się z moją Matką, Weroniką z domu Grześkowiak, w 1922 roku. Było to małżeństwo z rozsądku, jak większość wówczas zawieranych. Nastąpiła wymiana: ojciec przybył do Domachowa, a brat matki Jan do Grąbkowa, biorąc sobie za żonę Helenę, siostrę ojca. Małżeństwa te oparte były na fundamencie wiary i z niej później rozwijającej się miłości. Obydwie rodziny wyrosły w atmosferze

głębokiego patriotyzmu i przywiązania do Kościoła rzymskokatolickiego. W Domachowie były dwa majątki, jeden kościelny, biskupi, drugi rycerski, który w okresie rozbiorów dostał się w ręce niemieckie. Ostatnim właścicielem był Maks von Tyszke – gdy zbankrutował, dobra przeszły w ręce banku. Od banku wykupił je dziadek Grześkowiak, była to już resztówka; określenie to stało się nazwą gospodarstwa.

Domachowo należało do klucza parafii biskupiańskich, ponieważ właścicielami dóbr kościelnych byli poznańscy biskupi. Mieszkańcy biskupizny nosili specjalne stroje. Starsi mężczyźni mieli przypominające sutannę płaszcze, zwane wołoszkami, młodszy – czerwone jakki, białe spodnie, buty z cholewami i czarne kapelusze. Strój panien składał się z: wysokiego koronkowego czepka związanego z tyłu szeroką wstążką, obcisłego sznurowanego stanika, kilku fałdowanych spódnic i ozdobnego koronkowego fartucha, wysokich, sznurowanych do kolan butów na podwyższonym obcasie. Starsze kobiety nosiły niższe czepki, a co bogatsze – prawdziwe czerwone korale. Ciekawe są też nazwiska typowe dla tej miejscowości, a występujące już od średniowiecza, jak: Mendyka, Glura, Kabała, Łagódka. Warto dodać, że mieszkańcy zostali uwłaszczeni przez Kościół bardzo wcześnie, bo już w średniowieczu. Rodzina nasza była napływowa, nie biskupiańska.

Już po przybyciu ojca do Domachowa odbyło się wielkie wesele młodszej z siostr matki, Heleny, z Wacławem

Gryglewiczem. Na to wesele zawitali księża, dwaj bracia pana młodego, Franciszek i Feliks, w towarzystwie późniejszego kardynała, a dziś kandydata na ołtarze – ks. Stefana Wyszyńskiego.

DZIECIŃSTWO

PRZEŻYWANIE DOBRA

Obyś żył w ciekawych czasach” – to starożytne przekleństwo, bo czasy ciekawe to czasy, w których coś się zawsze dzieje, nie zawsze dobrego, wprost przeciwnie – to czasy pełne napięcia, nierzadko wojen. Cały wiek XX był bardzo ciekawy: wynalazki techniczne zmieniały warunki życia, pozwalały na powstawanie nowych gałęzi przemysłu, handlu. Dzięki nowym środkom komunikowania, coraz szybszym pojazdom świat stał się mniejszy, łatwiejszy do opanowania, łatwiej można było podporządkować sobie jego bogactwa. Człowiek zdobył nie tylko nowe narzędzia pracy, ale i narzędzia podboju, ujarzmiania jednych narodów przez drugie.

W takich to „ciekawych” czasach rozpoczęło się moje życie, rozwijało bezpiecznie pod sercem matki kochającej każde nowe dziecko. Był rok 1929, rok rozpoczynającego się na świecie kryzysu gospodarczego. Ludzie tracili wówczas

majątki. Wielu z rozpaczy skakało z piętra na bruk albo strzelało sobie w głowę, nie widząc sensu życia. Tymczasem ja, nieświadom niczego, rozwijałem się spokojnie w łonie mojej matki. Wsłuchiwałem się w bicie jej serca i szum krążącej w jej żyłach krwi. Nagle coś zaczęło się ze mną dziać, tylko to sobie uświadamiam, samego faktu urodzenia nie. Znalazłem się w innym świecie – z dotychczasowego przebywania w ciemności znalazłem się w świecie światła, które mnie ze wszystkich stron otaczało. Rozkosz przebywania w świetle dnia była tak ogromna, że wewnątrz rozpierała całe moje ciało. Nie rozróżniałem wówczas jeszcze sprzętów, mebli czy nawet osób, pamiętam jedynie pochylające się nade mną twarze. Nie słyszałem głosów, nie pamiętam przyjmowania pokarmów, ssania matczynej piersi. Wyraźnie uświadamiałem sobie jednak położenie, miejsce, gdzie leżałem; później dopiero, wracając do tych początków myśłą, zdałem sobie sprawę, że było to łóżko matki, na którym przyszedłem na świat. Dopiero po jakimś czasie przeniesiono mnie do łóżeczka ze szczebelkami i rozwieszonymi nad nim grzechotkami.

Miłym wspomnieniem były też dla mnie kąpiele w ciepłej wodzie, przygotowywane, z braku łazienki, w drewnianej balii.

Dom rodzinny był małym dworkiem, posiadającym dziesięć pokoi, pięć większych na parterze z dużą sienią pośrodku, skąd prowadziły schody na piętro, gdzie było pięć mniejszych pokoi. Dół był bardziej reprezentacyjny. Oprócz



Dom rodzinny w Domachowie

sypialni rodziców znajdował się tam salonik, w którym w głębokich fotelach rozmawiano z gośćmi, oraz salon – miejsce niecodziennych przyjęć wypełniał duży stół otoczonym krzesłami, dwa stylowe kredensy i stojące w narożniku skrzydło fortepianu. Na parterze znajdowała się też codzienna jadalnia i pokój dziadków. Pomieszczenia kuchenne, spiżarnia, miejsce na węgiel, na ziemniaki, wędzarnia – wszystko to znajdowało się w piwnicach znajdujących się pod całym domem. Pokoje na piętrze to tzw. wystawka, czyli pokój gościnny, obok dla chłopców, trzeci dla dziewcząt, czwarty rezerwowo i piąty dla ciotki, siostry matki, która sprawowała pieczę nad

całością, utrzymując w niesfornej gromadce odpowiednią dyscyplinę. Na górze dzień rozpoczynał się odśpiewaniem *Kiedy ranne wstają zorze*, a kończył pieśnią *Wszystkie nasze dzienne sprawy*. Nie muszę dodawać, że cały dom wypełniał się śpiewem. Nic dziwnego, że dorastające w sypialni dziecko z utęsknieniem czekało na to, by je przeniesiono do grona chłopców. Nie trwało to zresztą długo, najwyżej do drugiego roku życia, bo już po półtora roku od narodzin jednego malucha następowały kolejne.

Przyszło nas na świat w tym domu dziesięcioro: cztery dziewczynki i sześciu chłopców. A oto ich imiona: najstarszy Zygmunt, potem Urszula, Felicja, Krzysztof, Kazimierz Hilary (to ja), Michał, Marian, Jan, Maria i Krystyna. Wszyscy urodzili się w domu przy pomocy akuszerki. Maryś zmarł jako niemowlę na skutek nieodpowiedniego stosowania gorących okładów, które spaliły mu brzuszki. Najtrudniej miał Zygmunt, dlatego że na niego, ze względu na brak na górze mamy, która i tak miała pełno zajęć z najmłodszymi, spadł obowiązek opowiadania bajek, z czego, jak pamiętam, wywiązywał się znakomicie. On też był głównym organizatorem zabaw dla całej reszty.

Najbliższym miejscem zabawy, np. w ciuciubabkę, była sień; natomiast otaczające dom krzewy znakomicie nadawały się do zabawy w szukanego. Inne, bardziej zorganizowane zabawy, ze strzałkami wskazującymi drogę, wyrysowaną kołkami itp. wyprowadzały na pola i zarośla. Nie wspominam

o takich, które nie potrzebowały organizacji, jak puszczanie bąka. Huśtawki czy piaskownice były opanowane raczej przez siostry.

Sodoma i gomora działa się jednak w czasie wakacji, kiedy zjeżdżali kuzynowie i kuzynki. Wówczas biedne były stogi słomy już wymłóconej, z których urządzaliśmy sobie zjeżdżalnię; budowaliśmy też w nich korytarze. I na to wszystko pobłażliwie patrzył ojciec, który, mimo że był znakomitym gospodarzem i lubił porządek, rozumiał potrzeby dzieci. Przypomina mi się też gonitwa, jaką urządziliśmy sobie z siostrą po piwnicznych pomieszczeniach. Goniąc, nie zauważyłem stojącego na środku wiadra z odcedzoną z parownika żyburą (sam byłem niewiele większy od tego wiadra) – tak nieszczęśliwie na nie wpadłem, że moja ręka znalazła się w środku. Do dziś noszę ślady po oparzeniu.

Gospodarstwo, jak na ówczesne standardy, było średniej wielkości, miało dość dobrą ziemię. Prowadzono je wielokierunkowo: nie tylko uprawa ziemi, najczęściej pszenica, buraki, rzepak, groch, jęczmień, ale także hodowla. To, co dziś Unia Europejska wprowadza jako obowiązujący standard, już w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku ojciec stosował w hodowli. Każda krowa, okolczykowana, miała swoją tablicę, a na niej nazwę i wszystkie dane dotyczące wieku, wydajności mleka czy stanu. Każdego tygodnia kontroler z mleczarni sprawdzał jakość mleka, czystość, zawartość procentową tłuszczu itp.

Prócz zarodowej obory gospodarstwo miało dość dużą chlewnię pełną świń, całą gromadę kur, indyków, perliczek, kaczek czy gęsi. Było więc w czym wybierać i czym się cieszyć, a interesowało mnie wszystko, co się rusza, fruwa czy pływa. Wszystko budziło zachwyty: mrówki w szeregu wychodzące do pracy, kotka po raz pierwszy wyprowadzająca spod piwnicznych schodów swe młode, barwne motyle czy wpuszczanie nowego narybku do stawu, w którym były: karpie, liny, karasie, a nawet węgorze. Największą radość sprawiała przywieziona z odwiedzin mała sarenka, która – niestety – w czasie zarazy zachorowała na pryszczycę i na rękach mi skonała. Był też lis, którego złapano do worka pod mostem, a który potem zamknięty w klatce szczerzył zęby. Pamiętam również znalezione w stodole przy układaniu snopków zboża pisklęta sowy, pokryte jeszcze białym puszkim. Ojciec kazał je umieścić na dachu stodoły w specjalnie zrobionej dla nich klatce. Każdej nocy dorosłe sowy przylatywały, by je karmić, aż wyrosły na piękne, duże ptaki. Niestety kiedy to się już stało, złodziej porwał zarówno sowy, jak i lisa.

Nic dziwnego, że kiedy dziadek po raz pierwszy prowadził mnie do wiejskiej szkoły, wcale tym nie byłem zachwycony. Moją szkołą była cała otaczająca mnie przyroda, piękno ogrodu, drzewa, kwiaty. To wszystko było pełne tajemnic, pytań, przeżyć.

Urodziłem się 13 stycznia 1929 roku w niedzielę, w same imieniny mojej matki. Kiedy na dodatek brat matki przyje-

chał w tym dniu w odwiedzin, ciocia zaś była na miejscu, skorzystano z okazji, by po trzech dniach od urodzenia zabrać dziecko do kościoła i tam przez chrzest włączyć je do wspólnoty ludzi wierzących. Zaszczyc sprawowania tego sakramentu spadł na miejscowego proboszcza ks. Jana Ludwiczaka. Jak mi później opowiadano, zima tego roku była okrutna, dochodziło do 42 stopni mrozu. Widać Pan Bóg miał swoje wobec mnie plany, że przeżyłem w nieogrzewanym kościele, a musiałem się dobrze wpatrywać w jego sufit, bo zapamiętałem dokładnie wszystkie znajdujące się na nim malunki: św. Dawida z harfą, św. Kazimierza Królewicza, a w prezbiterium – Boga Ojca, Syna Bożego i Ducha Świętego. W imię więc Trójcy Świętej zostałem ochrzczony i imię Kazimierza noszę, a jako że urodzony w dniu św. Hilarego na drugie dano mi Hilary. Wkrótce po tym drewniany kościół pokryto tynkiem i obrazy na wiele lat znikły. Dopiero po wojnie, w latach siedemdziesiątych XX wieku ks. proboszcz Zdzisław Graczyk kazał je na nowo poodkrywać.

Wszystko to, co kościelne, od początku mnie interesowało, chociaż nie zawsze potrafiłem w świątyni godnie się zachować. Pamiętam jak raz, jako kilkuletni chłopiec, wparowałem na nabożeństwo, siadłem zadowolony na stopniach ambony i dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że mam na głowie czapeczkę. Jeszcze do dziś czuję rumieniec wstydu, który oblał wówczas moją twarz.



Drewniany kościół pw. św. Michała Archanioła w Domachowie

Dość wcześnie zostałem ministrantem i razem z innymi służyłem do Mszy św., chociaż za grosz nie rozumiałem słów ministrantury. Przenosiłem ciężki Mszal z jednej strony ołtarza na drugi, co nie zawsze mi się udawało dobrze zrobić, dzwoniłem, jak umiałem, czyściłem z innymi lichtarze, a w okresie Bożego Narodzenia zbierałem pieniądze po kolędzie. Starsi koledzy uczyli mnie nie tylko dobrych, ale i złych rzeczy.

Do Pierwszej Komunii św. przystępowałem w dziewiątym roku życia, w trzeciej klasie, ale chyba przygotowanie i zrozumienie tych dwóch sakramentów: pokuty i Eucharystii pozostawiało wiele do życzenia. Uroczystości ani w kościele, ani w domu wielkiej nie przygotowywano, prezentów również. Religijność rodziców była codzienna, nie świąteczna od uroczystości do uroczystości – praktykowana na co dzień modlitwa, coniedzielną Msza św. Nie pamiętam, aby rodzice czy i ktoś z rodzeństwa opuścił niedzielą Mszę św. Nie do pomyslenia były również wyzwiska, klątwy. Szczególnie moja matka, która przeszła szkołę prowadzoną przez siostry w Rokitnie jeszcze przed pierwszą wojną światową, była bardzo religijna, codziennie aż do śmierci długo odmawiała swoje modlitwy. Kiedy w Poznaniu wybudowano pomnik Najświętszego Serca Pana Jezusa i poświęcono całą diecezję Bożemu Sercu, to samo miało miejsce w poszczególnych parafiach i katolickich domach. Odtąd w sypialni zawisł obraz i zapłonęła lampka oliwna.



*Autor książki (pierwszy od lewej) z rodzeństwem
(drugi od lewej Krzysiu, następnie Felicja, Urszula, Zygmunt)*

Matka zajmowała się przede wszystkim domem i wykarmieniem ciągle głodnej gromady swoich dzieci. W trakcie zabawy często wpadałem do jadalni, by ukroić kromkę chleba i biec z powrotem do interesujących mnie zajęć. Do stołu wszyscy siadaliśmy, a było nas z dziadkami i ciotką 15 osób, według pewnej hierarchii: u szczytu siedział ojciec, po prawej ręce miał mamę, a dalej według starszeństwa.

Najgorzej mieli ci najmłodsi, bo siedzieli na końcu, więc jedzenie docierało do nich najpóźniej, spotykało się to nieraz z protestami z ich strony, a w niedzielę na śniadanie potrafi-

śmy zjeść cały kosz od bielizny bułek. Zresztą piekarz mieszkał po sąsiedzku. Na obiad najbardziej smakowała czernina z kaczką i na drugie danie kluski na parze. Mama z pomocą ciotki smażyła też nigdzie nie spotykane pączki. Najcięższą pracą kobiet było chyba pranie całych stert brudnej bielizny w baliach, przeważnie na tarkach. Z zewnątrz patrząc, wydawałoby się, że jesteśmy zamożni, żyliśmy jednak skromnie, obiady mięsne jedliśmy przeważnie tylko w niedzielę. Tak jak wszystkie dzieci w miesiącach letnich biegaliśmy na bosaka; osobiście byłem z tego zadowolony, gorzej jeśli trafiło się na szkło albo na jakiś kolec.

Najczęściej operacje i zabiegi chirurgiczne przeprowadzał osobiście ojciec, nawet tak skomplikowane jak opatrzenie zmiążdżonego palca, który dostał mi się w tryby maszyny. Wystarczyła kąpiel w wodzie z lizolem, drewniane łupki i bandaż. Kiedyś młodszemu bratu przy zabawie obcieliśmy koniec palca. Pojechano z nim do lekarza, który zwisający koniuszek chciał obciąć. Ojciec nie pozwolił, zabrał brata do domu, palec poskładał, obandażował – no i wszystko się zrosło. Zresztą w gospodarstwie również inwentarz leczył sam, np. wzdęte krowy; przeprowadzał też kastracje u zwierząt, tak że inni gospodarze nieraz zwracali się do niego w tych sprawach o pomoc. Nie udało mu się jednak uratować źrebaka, któremu dyszel od wozu przebił brzuch i jelita, albo przyszyć koniowi tylnych kopyt oderwanych od pęcín wskutek nadmiernego galopu i uderzeń kopytami o orczyk powózki.



Dożynki w Domachowie

Przestraszony koń biegł równoległe z kolejką i nie udało się go – niestety powstrzymać.

Pomagaliśmy również sami przy narodzinach cieląt, źrebaków czy prosiąt. Jak to w gospodarstwie – wzrastałem blisko toczącego się wokół życia.

Jak przystało na dobrego gospodarza, ojciec potrafił wykonywać prace rymarskie, ogrodnicze, szczepić, oczkować itp. Potrafił też wyplatać krzesła rafią, naprawiać zegary, projektować nowy wystrój bram wjazdowych. Jego poczucie estetyki było widoczne w domu, małym parku otaczającym dom, ogrodzie czy w samym gospodarstwie. Nie miał łatwo, produkty rolne były tanie, a musiał jeszcze spłacać spadkobierców. Dbał jednak o nasze wykształcenie, chciał, by każdy ukończył szkołę i zdobył odpowiedni zawód. Ponieważ na miejscu była tylko szkoła czteroklasowa, dlatego po ukończeniu trzeciej klasy wysyłał nas do szkoły w mieście oddalonym o 8 kilometrów. Rozwiązał sprawę w ten sposób, że kazał do wozu, który codziennie woził mleko do mleczarni, dobudować z przodu budę z siedzeniami w środku. I tak rodzeństwo jeździło codziennie mleczarką do Gostynia, do szkoły podstawowej. We wrześniu 1938 roku i ja zacząłem jeździć z dwójką braci i dwiema siostrami do miasta – do czwartej klasy.

Czy czegoś więcej tam się nauczyłem, tego nie wiem. Czuć już było atmosferę zbliżającej się wojny. Śpiewaliśmy patriotyczne pieśni, zbierano pieniądze na produkcję nowych samolotów, czołgów. Mieliśmy być „silni, zwarci, gotowi”.

Czasy przedwojenne to dla mnie jedna wielka sielanek. Doznawanie, doświadczanie dobra ze wszystkich stron, ze strony rodziny, przyrody, całego otoczenia. Nie docierały do mnie problemy dorosłego świata, jako dziecko miałem swój mały świat, nie mniej interesujący. Polegał on przede

wszystkim na odkrywaniu i poznawaniu tego, co mnie otaczało. A było tyle pięknych rzeczy – nawet najdrobniejszych, zwłaszcza w świecie przyrody – które budziły zachwyt. Były też sprawy, które mnie załamywały, i wten czas zastanawiałem się, po co żyję na tym świecie, ale nie potrafiłem jeszcze sobie na to pytanie odpowiedzieć.

Z dorosłymi nie udawało się nawiązać bezpośrednio kontaktu, mieli na głowie wiele innych kłopotów, które wymagały rozwiązania. Zresztą tuż przed wybuchem wojny, mając 10 lat, sam czułem się prawie jak dorosły.

WYBUCH WOJNY

DOŚWIADCZANIE IDEOLOGII NAZISTOWSKIEJ

Nad Polską zaczęły się gromadzić złowieszcze chmury, wśród których krążył czarny, trzymający w swych szponach swastykę orzeł, znak ideologii faszystowsko-nazistowskiej. Biały orzeł odlatywał coraz dalej w głąb kraju, by w końcu wylądować poza jego granicami, a także schować się w polskich lasach. Na drogach, począwszy od 1 września 1939 roku, zaczęły pojawiać się coraz większe rzesze ludzi uciekających z pogranicza w głąb kraju. Niektórzy zahaczali i o naszą, chociaż oddaloną od głównych tras, wioskę Domachowo. Pozostawiali po sobie swoje lęki, które podrywały niektórych, aby pójść w ich ślady.

Ruszyliśmy i my, pozostawiając na podwórzu wypuszczone z obór i stajni bydło. Na szczęście ujechaliśmy tylko parę kilometrów, kiedy ojciec kazał zawracać. Mówił: „Przebież ja Niemców znam, służyłem w ich wojsku kilka lat,

chyba nic złego mi nie zrobią”. I tak wróciliśmy do domu. Wkrótce zaczęły dochodzić wieści o masakrach na drogach dokonywanych przez pikujące samoloty czy wdzierające się coraz głębiej niemieckie czołgi.

Po raz pierwszy ujrzałem niemiecki patrol: dwa motocykle z przyczepami wjechały na nasze podwórze jednocześnie, jeden od strony Gostynia, drugi szosą od Krobi. Niemcy stanęli, popatrzyli i zawrócili. Po nich zjawiła się cała kompania wojska. Bez pytania rozłokowali się na podwórzu, wyładowali cały wóz starego ciemnego chleba, a w to miejsce, załadowali polski biały chleb od piekarza. Widocznie nie wszystko, co niemieckie, było bardzo dobre. Po jednodniowym odpoczynku pojechali dalej ujarzmiac i podbijać. Odtąd codziennie słychać było warkot przelatujących nad horyzontem bombowców oznaczonych czarnym krzyżem. Kierunek zawsze ten sam – Warszawa.

Nie wiedział jeszcze wówczas ojciec, że ci Niemcy, którzy wkraczali do naszej Ojczyzny, to ludzie o skażonych sercach i umysłach, zatruci ideologią nazistowską. Wmówiono im, że są nadludźmi, rasą panów, a wszyscy inni to podludzie, którzy nadają się tylko do tego, aby im służyć. Dlatego, chociaż rozpoczął się okres szkolny, dzieciom polskim nie wolno było uczęszczać do szkoły, gdyż one nie potrzebowały nauki. Zresztą pozamykano nie tylko szkoły podstawowe, ale przede wszystkim średnie i akademickie. W niedługim czasie przyszła kolej i na kościoły.

Na ziemiach wcielonych do Rzeszy Polacy, podobnie jak w Generalnej Guberni Żydzi, zostali pozbawieni wszelkich praw, a przed każdym napotkanym Niemcem musieli głęboko się kłaniać i zdejmować czapki. Wcześniej nakazano im poddawać radia, wszelkiego rodzaju broń wojskową, myśliwską, nawet szable, wojskowe sztandary, godła narodowe itp. Zatrzymanie tego rodzaju przedmiotów groziło karą śmierci. Oddaliśmy więc radio, które składało się ze skrzynki z lampami i stojącego na niej głośnika, który był ciekawie obudowany. W 1935 roku wkładałem z tyłu w tę obudowę głowę, aby lepiej słyszeć przybijanie wieka trumny, w której czekał na pochowanie marszałek Józef Piłsudski. Następnie oddał ojciec starą kurkową fuzję, a nowszą i myśliwską sztucer przechowywano pod okapem na strychu domu. Przyszła też kolej na sztandar powstańców wielkopolskich, który ukryliśmy na strychu kurnika, zagrzebując go w jęczmiennych plewach. Nic to, że za ich wykrycie groziła śmierć, a w najlepszym razie wywózka do obozu w Oświęcimiu.

W październiku 1939 roku Niemcy zaczęli aresztować bardziej znaczących ludzi w całej Wielkopolsce i na Pomorzu. Mieli być zakładnikami na wypadek odwetowych działań ze strony polskiej. W rzeczywistości chodziło o sterroryzowanie, zastraszenie wszystkich. Wśród aresztowanych znalazł się również mój ojciec. Wiedzieliśmy, że chodziło nie tylko o aresztowanie, ale o coś o wiele gorszego. Rozpoczęło się rozstrzelanie aresztowanych. Od jednego miasta

czy miasteczka do drugiego jeździła specjalna jednostka niemieckich młokosów, ubranych w zielone mundury, z trupimi czaszkami na czapkach i kołnierzach, z literami „SS” na rękawach.

Przyszła również kolej na Krobię, gdzie w piwnicznych lochach ratusza czekali na śmierć aresztowani; było ich trzydziestu. W dzień męczeńskiej śmierci św. Urszuli i jej towarzyszek, 21 października 1939 roku, spędzono na krobowski rynek miejscową ludność. Do Krobi Todeskommando przyjechało po południu. Przed południem zamordowali już trzydziestu z czterdziestu aresztowanych w Gostyniu, a tego samego dnia pod wieczór zdążyli jeszcze to samo zrobić w Poniecu. Rozstrzeliwanie miało być publiczne, mieszkańcy miasteczka mieli patrzeć na to tragiczne widowisko.

Zrozpaczona Matka zabrała nas, całą gromadę, licząc chyba na litość stojących przy autobusie oprawców, którzy zaczęli robić sobie z nas żarty. Pamiętam tylko ich śmiech, widocznie płacząca z rozpacz rodziny była dla nich bardzo komiczna. Kazano nam się wynosić. Wycofaliśmy się więc do znajomej rodziny, której ojciec również znajdował się wśród zakładników. Kiedy na rynku rozstrzeliwano, my modliliśmy się do Boga o ich uratowanie. Może po godzinie pod oknami usłyszeliśmy końskie kopyta i ujrzeliśmy wóz z ciałami pomordowanych jadący na pobliski cmentarz. Zginął ojciec rodziny, u której przebywaliśmy, nasz natomiast ocalał. Po-



Ratusz w Krobi. Miejsce rozstrzeliwań w 1939 roku

zostałą połowę zakładników dalej więziono. Podobno wieść o rozstrzeliwaniach dotarła za granicę i były interwencje. Na początku wojny Niemcy jeszcze się trochę liczyli z międzynarodową opinią, kiedy jednak alianci przystąpili do wojny, wszelkie opory z ich strony ustąpiły.

Po jakimś czasie ojciec wrócił i opowiedział o strasznym lęku wywoływanych na śmierć. Nikt nie wiedział, kogo wywołają. Wszyscy się modlili i zanim poszli pod ścianę, każdy chciał mieć przy sobie choćby medalik.

Sterroryzowana ludność Wielkopolski i Pomorza nie wiedziała, co ją może jeszcze spotkać. Pozbawiona przywódców zarówno świeckich, jak i duchownych, była zmuszona organizować sobie na nowo życie wśród prześladowających ją Niemców.

WYSIEDLENIE

Miesiąc po powrocie ojca rozeszła się wieść, że Niemcy rozpoczynają wysiedlanie do Generalnej Guberni, aby zrobić miejsce dla swoich.

Przyszła kolej i na nasz dom. Przybyła policja i ogłosiła, że w ciągu piętnastu minut mamy się wynosić. Zabrać można było tylko to, co każdy mógł unieść. Był 13 grudnia 1939 roku, dzień wyjątkowo mroźny, ponad 30 stopni. W jednej chwili cała rodzina znalazła się na bruku: dziadkowie razem z cicią, rodzice i dziewięcioro rodzeństwa. Najstarszy brat liczył wówczas 16 lat, najmłodsza siostra miała roczek, a ja lat 10.

Obozem przejściowym dla wysiedlanych okazał się klasztor Filipinów na Świętej Górze w Gostyniu, z którego najpierw usunięto księży. Każdego z wysiedlonych poddano rewizji osobistej, by zabrać co cenniejsze przedmioty. Noclegi

urządzono nam na słomie. Po kilku dniach wreszcie wszystkich załadowano do pociągu, w skład którego wchodziły wagony bydłce i osobowe. Przy trzydziestostopniowym mrozie pociąg ruszył w nieznanym kierunku. Nam udało się rozmieścić w przepełnionych wagonach osobowych. Najstarszy z nas, Zygmunt, jechał z bagażami w wagonie bydłcym. Kiedy dotarliśmy do Łodzi, okazało się, że był to obóz centralny dla tych pozostałych, w których dotychczas przebywali wysiedleni. Tutaj wszystkich zarejestrowano, po czym ruszyliśmy w kierunku, jak później się okazało, Śląska. Po drodze, gdzieś w okolicach Częstochowy, lokomotywa zamarzła, widocznie zabrakło paliwa. Czekaliśmy więc trzy dni, aż ją „odtajano”, i pociąg ruszył dalej. Po kolejnych postojach na stacjach Śląska dotarliśmy, nie wiedząc o tym, do Tarnowa. Była noc, wszystkim kazano wysiadać i zdezorientowanych pozostawiono nas swojemu losowi na peronie. Wreszcie zainteresował się nami miejscowy „Caritas”, podlegający Kościołowi.

Zaprowadzono wszystkich do budynku liceum im. Brodzińskiego. Spaliśmy na podłodze; ci, którzy zabrali pierzyny, spali na nich. Poczęstowano nas gorącą kawą, która była tak gorzka, że nie dało się jej pić; okazało się, że była z żołądźci. Dla niektórych owa szkoła stała się mieszkaniem na wiele miesięcy. Nad naszą rodziną i kilkoma innymi ulitowano się i zainstalowano nas w domu opieki dla nieuleczalnie chorych prowadzonym przez siostry józefitki. Część domu, gdzie mieszkaliśmy, przeznaczona była dla mniej obciążonych;

z dalszych pomieszczeń dochodziły jakieś wołania i jęki. Do dyspozycji oddano nam dwa małe pokoje bez kuchni, dla jedenastu osób. Tuż za ścianą leżał sparaliżowany brat prezydenta Polski Ignacego Mościckiego, którym opiekowała się żona. Z drugiej strony znajdował się pokój znerwicowanej nauczycielki, która, gdy tylko u nas było zbyt gwaro, przybiegała i stuknęła laską w drzwi, by po chwili zniknąć za swoimi. W ośrodku tym mieszkaliśmy przez okrągły rok. Znajdował się na końcu ulicy Starodąbrowskiej, którą zamieszkiwała biedota żydowska. Chałupy niskie, po same framugi okien sięgała ziemia, a właściwie śmieci, które najwygodniej było wyrzucać przez okna. Kiedyś tą ulicą szedł żołnierz Wehrmachtu, budząc wśród mieszkańców zrozumiały popłoch i ciekawość. Gdy zakłótał do furty klasztornej, okazało się, że pyta o nas. Był to krewniak, Marian Fabiś, którego matka była siostrą mojej babci, a ponieważ mieszkali w Kramsku niedaleko Babimostu, na terenie Rzeszy, został wcielony do niemieckiego wojska. Szczęściem dla niego uznano go później za niegodnego tej służby, gdyż okazało się, że jego ojca ścięto w berlińskim więzieniu za działalność patriotyczną wśród mieszkających na terenie Niemiec Polaków.

Pod koniec 1940 roku przyjechała do nas ciocia Stasia, której pozwolono pozostać w Domachowie, by mogła opiekować się moimi dziadkami. Mieszkali jednak nie w domu rodzinnym, ale w tamtejszej szkole, w której nikogo nie uczono. Przebywał tam również były proboszcz z Gostynia –

ks. Siczynski, gdy jego kościół, jak wszystkie inne w powiecie, zamknięto. Otwarty pozostał jedynie nasz kościół domachowski; proboszcza, ks. Bodzianowskiego, wywieziono wraz z innymi księżmi do Dachau. Jego funkcję miał przejąć proboszcz z Gostynia, ks. Siczynski, którego z niewiadomych powodów pozostawiono w spokoju. Otóż odważna ciocia postarała się o to, że jakimś sposobem mogła przekroczyć granicę Generalnej Guberni. W skrzyni, którą przewiozła ze sobą, ukazało się naszym zdumionym oczom pół świni. Oczywiście za taki wyczyn mogłaby powędrować do Oświęcimia. Od niej też dowiedzieliśmy się, że pozostawione w domu psy, nie chcąc przyjmować pokarmu od obcych uzurpatorów, pozdychały. W drogę powrotną zabrała ze sobą moją młodszą siostrę Marylkę, zresztą ku jej wielkiemu niezadowoleniu. Marylka musiała później, jako przebywająca nielegalnie, ciągle się ukrywać. W zamierzeniu posunięcie to miało ulżyć mojej matce, jednak rozrywało więzy rodzinne.

W końcu wielebne siostry miały nas już dosyć i z ulicy Starodąbrowskiej musieliśmy się przenieść na drugi koniec miasta, do pustego pomieszczenia ochronki przy kościele Księży Misjonarzy, na ulicę Krakowską. Była to jedna duża sala, którą trzeba było przedzielić jakimś sprzętami, by zrobić miejsce na kuchnię. Ojciec znalazł pracę w tartaku, który miał swoje biuro w mieście, a produkcja odbywała się kilka kilometrów poza nim, w Krzyżu. Tam też zaczął pracować mój blisko czterastoletni brat Krzysztof, codziennie układając

deski w sterty. Najstarszy brat Zygmunt znalazł zatrudnienie w ogrodnictwie, starsza siostra Felicja płucała butelki. Każdy jak najszybciej chciał pomagać rodzicom. Niestety nie obyło się bez ofiar. Krzysiu, najlepszy z braci, 1 marca 1941 roku zginął pod kołami pociągu, nie ukończywszy jeszcze piętnastego roku. Zabrał go po pracy woźnica, dzień był dżdżysty, Krzysiu siedział z tyłu wozu z podniesionym kołnierzem, a woźnica, widząc zbliżający się pociąg, podciął konie, by przed nim zdążyć. Konie z woźnicą zdążyły przejechać, ale brat znalazł się pod lokomotywą. Zginął na miejscu. Ciało pogrzebano na cmentarzu w Klikowie 4 marca 1941 roku, w dzień moich imienin. Na imieniny podarował mi po śmierci swoje ubrania... Mimo młodego wieku duchowo Krzysiu był bardzo dojrzały, dla mnie był przykładem głębokiej pobożności. Zdarzyło się, że zrzuciłem winę na niego – bez słów skargi przyjął na siebie niezасłużoną karę. Był też zamiłowanym gospodarzem; jeszcze w rodzinnym domu posiadał swoje małe gospodarstwo z inwentarzem.

Tak więc zaczęło nas ubywać – siostrę zabrano, brat poszedł do nieba, starsza siostra Urszula wyjechała później do wujostwa, do Hrubieszowa – pozostało nas sześcioro: starszy brat i siostra, o których już wspomniałem, oraz dwóch braci ode mnie młodszych i najmłodsza siostra. Michał będzie uczył miejscowych chłopaków, ku ich powszechnej wesołości, jak należy puszczać bąka: „najpierw trzeba owinąć go rzemieniem, rzucić i zaś go batem”. Śmiali się z tego wielkopolskiego

„zaś” jeszcze długo. W ten sposób wzbogaciliśmy wzajemnie między sobą nasz język. Michał wśród miejscowych zdobył przyjaciela Janka Wojciechowskiego, który po wojnie będzie śpiewał w zespole „Śląsk”. Natomiast brat Janek na bosaka szlifował chodniki miasta Tarnowa, poznając dokładnie jego zakamarki. Najmłodszą Krysię przyszło mi nieraz odprowadzać do ochronki prowadzonej przez siostry felicjanki.

W pierwszej połowie 1942 roku zostaliśmy zakwaterowani w żydowskim mieszkaniu przy ulicy Wałowej 19. Ulica ta w połączeniu z ulicami Krakowską i Lwowską stanowiła jeden ciąg przechodzący przez całe miasto. Przez te trzy ulice jeździł, zgrzytając po szynach i od czasu do czasu dzwoniąc, miejski tramwaj. Niestety, linię tramwajową Niemcy później zlikwidowali i przenieśli do Lwowa.

Tarnów liczył około 60 000 mieszkańców, z czego jedna trzecia to ludność pochodzenia żydowskiego. Nasze mieszkanie składało się z dwóch pokoi, z których jeden przerobiono na prowizoryczną kuchnię. Z braku żywności nie za dużo się w niej gotowało. Mama robiła, co mogła, aby nas nakarmić, najczęściej gotowała grochówkę, ziemniaki; po kapuśniaku chodziliśmy do publicznej kuchni prowadzonej przez kościelny „Caritas”. Pamiętam, że zawsze po zupę ustawiała się długa kolejka.

Od miejscowych kobiet matka nauczyła się też przyrządzać pierogi, kulony i inne typowe dla tego regionu potrawy. Następową więc również wymiana doświadczeń na pozio-

mie kuchni. Czasami mama piekła chleb i, aby go było więcej, do ciasta dodawała ziemniaków. Wychodził z tego niezły zakalec. Chleba się nie smarowało masłem; czasami udało się kupić smalec, najczęściej jedliśmy z marmoladą z brukwi, zamiast cukru używaliśmy sacharyny.

Mieszkanie było bardzo zapluskwione, tak że co noc urządzaliśmy polowania na te żarłoczne bestie. Mimo przeprowadzonego przez ojca odkażania pokoi nie wszystkie dało się wytrzebić. Do dziś się zastanawiam, jak można było tam mieszkać, czy poprzednich lokatorów one nie gryzły?

Nasze lokum ogrzewaliśmy trociniakiem, który razem z przystawioną kuchnią okazał się bardzo niebezpieczny. Pewnej nocy o mało się wszyscy nie zaccadziliśmy. Na szczęście ktoś się obudził, gdy siostra upadła nieprzytomna na podłogę. Nie można było jej docucić, dobrze że piętro niżej mieszkała Żydówka, która była lekarzem – zawezwana chętnie przysłała z pomocą.

Mieszkaliśmy na drugim piętrze, sanitariaty były wspólne dla lokatorów każdego piętra. Od podwórza widoczny był fragment starego muru obronnego z basztą, który okalał wzgórze Starego Miasta. Niestety, od ulicy nie było go widać, zasłaniały go zbudowane w XIX wieku czynszowe kamienice, a o jego istnieniu mówiła jedynie nazwa ulicy – Wałowa. Patrząc od podwórza, zatrzymywało się wzrok na okalających katedrę kamieniczkach księży kanoników i samej katedrze. Z okien roztaczał się widok na ulicę Wałową, Grottgera



Podcienia kamieniczek na rynku w Tarnobrzegu, akwarela

(naprzeciw) i Brodzińskiego, a przy niej dalej kościół Księży Filipinów i gmach byłego Seminarium Duchownego, w czasie wojny zamieniony na obiekt wojskowy. Samo miasto piękne z tradycjami, z zabytkowym rynkiem i gotyckim ratuszem w środku, otoczonym kamieniczkami z podcieniami.

Katedra gotycka, w prezbiterium bogato rzeźbione nagrobki hetmana Tarnobrzegskiego i klęczącego pobożnie Opałińskiego. W narożniku prezbiterium rzeźba kobiety w stanie

błogosławionym, z odsłoniętym nieco brzuchem, jakby chciała podziękować Bogu za dar macierzyństwa. Zapytałem kiedyś mamę, dlaczego ona ma tak wielki brzuch, ale zawstydzona, nie umiała mi na to odpowiedzieć. Za to uświadomił mnie kościelny, który podał mi odpowiednią na ten temat książkę. Pochodził z Limanowej, dokąd kiedyś na parę dni mnie zabrał. W kruchcie katedry piękna Pieta, przy której zawsze paliły się świece; przy drzwiach wejściowych duży czarny krzyż z figurą Chrystusa, którego stopy całowali wchodzący. Kościół zawsze był pełen ludzi, zwłaszcza na nabożeństwie gorzkich żalów, na których ks. Rachwał, późniejszy filipin, wygłaszał płomienne kazania. W stallach prezbiterium siedział często kleryk w okularach z lwowskiego seminarium, późniejszy kapelan uwięzionego ks. Stefana kardynała Wyszyńskiego. Przed katedrą plac Katedralny połączony jednym narożnikiem z narożnikiem rynku. Całe stare miasto leżało na wzgórzu, dlatego z dwóch stron, od ulicy Wałowej i od Burku, wchodziło się po kamiennych schodkach. Burkiem nazywano plac handlowy, a na nim targowisko. Przy Burku stała kamienica, a w niej mała wytwórnia świec; jak mówiono, jej właściciel był ojcem Józefa Cyrankiewicza.

W pobliżu stał stary kościół o.o. Bernardynów, do którego wnętrza schodziło się po schodkach. Podobno połączony był tunelem z Górą Zamkową, na której szczycie znajdowały się ruiny zamku Tarnobrzegskich. Góra Zamkowa stanowiła



Kościół św. Marcina w Tarnobrzegu, akwarela

jedną całość z Górą św. Marcina, na której stał stary drewniany kościółek. W jego wnętrzu od ściany do ściany wisił drewniany łańcuch, wykonany ponoć z jednego kawałka drewna, z drewnianą kłódką pośrodku.

Legenda mówi, że wyrzeźbił go pokutnik, który po skończeniu pracy został rażony piorunem i zmarł. Tak zakończy-

ło się dzieło i życie pokutnika. W księdze pamiątkowej tego kościoła uwieczniliśmy nasze nazwisko i dokonaliśmy odpowiedniego wpisu. Na Górę Zamkową odbywaliśmy często wyprawy w niedzielę, bowiem z ruin zamku rozciągała się piękna panorama leżącego u stóp góry miasta.

Pierwsze dwa lata upłynęły na ogół względnie spokojnie. Żydzi prowadzili swoje interesy, sklepy, uprawiali handel. Początkowo niektórzy starozakonni z zapuszczonymi brodami chodzili w chałatach, młodzi nosili kręcone pejsy. Pamiętam, że kupowałem kiedyś w żydowskim sklepiku scyzoryk, w naszych stronach nazywany „żydkiem”. Poprosiłem więc o „żydka”, sprzedawca popatrzył na mnie i bez słów dał mi „rybkę” dobrze więc wiedział, o co mi chodziło.

Niestety, Niemcy planowali już zagładę narodu żydowskiego. Najpierw wyszedł nakaz golenia bród, obcinania pejsów, później nakazano wszystkim Żydom noszenie na rękawie opasek z gwiazdą Dawida, zakazano też chodzić im po chodniku; mogli się poruszać najwyżej po jezdni, blisko chodnika. Skończyło się na utworzeniu getta; wyodrębniono część miasta, otaczając ją wysokim murem. Odtąd z miasta i okolicy zwożono do getta Żydów. Odbywało się to w sposób bestialski, np. z naszej kamienicy i sąsiednich budynków wyprowadzano ich na ulicę, a przy najmniejszym oporze czy słowie sprzeciwu na miejscu ich zabijano – w sieni lub na podwórku. Żydzi mogli zabrać tylko tyle, ile unieśli. Przy okazji robiono selekcję. Zniedołężniałych, starych zaprowadzano

na rynek i masowo rozstrzeliwano. Obserwował to przez firankę właściciel księgarni znajdującej się tuż przy katedrze. Stał w oknie swojego mieszkania usytuowanego na piętrze, skąd widział fragment rynku przylegający do placu Katedralnego. Rynek otoczyli esesmani. Na nieszczęście jeden z nich zauważył, że ktoś uchyla firankę, wymierzył i strzelił, zabijając zbyt ciekawego księgarza w jego własnym mieszkaniu.

Polacy, podobnie jak Żydzi, pozbawieni praw ginęli nieoczekiwanie, bez sądu. Nie wolno nam było pod groźbą śmierci nikogo z prześladowanych Żydów ukrywać. Kiedy na drugi dzień udałem się do katedry na ministrancką służbę, widziałem przed niektórymi domami kałuże krwi. Później się dowiedziałem, że w jednym z mieszkań znaleziono ukrywającego się Żyda. Wyprowadzono więc przed dom całą polską rodzinę i razem z nim rozstrzelano. Po rozprawieniu się z Żydami to samo czekało Polaków, Cyganów i przedstawicieli innych, według oceny Niemców, podrzędnych nacji, nie mówiąc o psychicznie chorych, niepełnosprawnych, których już wcześniej zaczęto mordować. Krwawe było tworzenie getta, ale jeszcze krwawsze jego likwidowanie. Dosłownie unicestwiano budynki i ich mieszkańców. Pozostałych przy życiu Żydów wywożono do Oświęcimia albo rozstrzeliwano w lasach. Pod oknami naszej kamienicy widziałem wypełnione po brzegi ciężarówki; przewożonym w nich ludziom nie wolno było podnosić głów ani się rozglądać. Siedzieli więc potulnie pod lufami wymierzonych w nich karabinów.

Chociaż wcześniej pomiędzy Polakami a Żydami trwała ekonomiczna rywalizacja, teraz olbrzymia większość z nas im współczuła. Każda próba pomocy kończyła się jednak krwawym odwetem ze strony Niemców. Po likwidacji getta „sterylni” Niemcy zapędzili do sprząwania oddziały baidienstu. Były to formacje złożone z chłopaków najczęściej wiejskich, w wieku poborowym, których zaciągano do tego rodzaju formacji, aby nie przejęła ich partyzantka. Widziałem ich nieraz maszerujących w kolumnach z łopatami na ramionach. Musieli wykonywać najrozmaitsze niewolnicze prace. W tym wypadku zajmowali się zbieraniem i grzebaniem na żydowskim cmentarzu ciał pomordowanych. Niestety, byli tacy, którzy ścigali nieboszczykom zegarki czy bransoletki i zakładali je sobie na ręce. Może mieli takie polecenie i później musieli te przedmioty zdawać, ale był to widok dość nieprzyjemny. Jako chłopak widziałem też, jak Niemcy przywozili ciężarówkami pod bramę żydowskiego cmentarza żydowskie niemowlęta, które podawali sobie z rąk do rąk jak cegły. Ostatni z oprawców rozbijał ich główki o mur i wrzucał do dołu.

Dość wcześnie Niemcy planowali atak na Związek Radziecki; najpierw przygotowywali drogę z Krakowa do Lwowa. Nawierzchnię szosy zamienili na granitową kostkę, zapewne wytwarzaną w kamieniołomach Gross-Rosen; przy pomocy taniej siły roboczej pod kierunkiem fachowców ubijano ją na drodze. W krótkim czasie szosa zamieniła się w drogę bitą, którą przemieszczały się przez wiele dni,

a nawet tygodni kolumny wojska, samochodów, armat wszelkiego rodzaju, czołgów zwanych tygrysami i panterami. Wszystko to przemieszczało się ulicami miasta z zachodu na wschód. Była to armia feldmarszałka Paulusa, którego widziałem raz, jak w płaszczu z czerwonymi wyłogami na kołnierzu, prowadząc dwa małe pieski, wychodził z domu zamienionego na swoją kwaterę. Ciekawe, że pod koniec wojny powracających z frontu nie było widać. Jak wiemy, większość pod Stalingradem dostała się do niewoli.

W 1943 roku, po ukończeniu czternastego roku życia, zostałem przyjęty w charakterze ucznia przez pana Steindla, właściciela sklepu galanteryjnego. Był to Polak, ale pochodzenia austriackiego. Może bardziej pod wpływem swej żony, zresztą Polki, podpisał on listę steindojcza. Brat jego, który po sąsiedzku sklepu prowadził restaurację, nigdy tego nie zrobił. Tak więc u Steindla myłem okna wystawowe, zamiatałem sklepową posadzkę, a także sprzedawałem najróżniejsze artykuły, najmniej galanteryjnych, bo tych już nie było, ale płyty, gramofony, różnego rodzaju wyroby góralskie i rzeźbione kasetki. Po takie pamiątki przychodzili żołnierze niemieccy, aby je wysłać do swoich rodzin. Pracodawca wynagradzał mnie bardzo lichy, raz czy dwa razy dostałem od niego koszulę. Tam też, nie na widoku, widziałem jako pozostałość walki konkurencyjnej tabliczkę z hasłem „Chrześcijanin kupuje u chrześcijanina”. Zbyt wielkiego chrześcijaństwa u nich nie dostrzegłem. Sklep był przy ulicy Krakowskiej,



Mauzoleum gen. Józefa Bema w parku Strzeleckim w Tarnowie

uważanej za reprezentacyjną. Wieczorami zapełniała się przechadzającymi parami, także zakochanych. Życie towarzyskie, szczególnie w świąteczne wieczory, toczyło się na ulicy oraz w pięknym tarnowskim parku. W jego centrum, otoczone wodą, stało mauzoleum gen. Józefa Bema, bohatera Węgier, ale pochodzącego z tego miasta.

Muszę przyznać, że w czasie wolnym czytałem dużo najrozmaitszych książek, dobrych i złych, jedną nawet na oczach wszystkich spaliłem, bo była zbyt gorsząca. Kiedy mi zabrakło książek, udawałem się po prostu do księgarni, ale nie żeby kupić, lecz by pożyczyć; ciekawe, że mi nie odmawiano. Coraz bardziej też my, wygnańcy, wyrosli na wsi, przyzwyczajaliśmy się do życia w mieście. Znałem wszystkie zakątki i tajne przejścia w Tarnowie. Czasami wybieraliśmy się nad rzekę Białą, aby się kąpać. Razu pewnego poszliśmy też nad jakąś gliniankę, gdzie o mało się nie utopiłem. Wyratował mnie kolega brata, który umiał pływać i jakoś dopchnął mnie do brzegu.

Od czasu do czasu hitlerowcy urządzali łapanki, polowania na ludzi, by po odpowiedniej selekcji wywozić ich na roboty do Niemiec. Niektórzy młodzi ludzie byli zaangażowani w działalność partyzancką. Niemcy tolerowali też przedwojenną, tzw. granatową policję – potrzebna im była do utrzymywania porządku, chociaż nie miała prawa posługiwać się bronią. Zdarzyło się, że syna jednego z takich policjantów, zaangażowanego w działalność podziemną, a pra-

cującego w tej samej firmie, co ojciec, poszukiwało gestapo. Przyszli do firmy, aby go aresztować, ale w pracy go nie zastali, zmusili więc ojca, aby poszedł z nimi i pokazał, gdzie mieszka. Kiedy przyszli w pobliże domu, syn akurat z niego wychodził. Niemcy nie zorientowali się, że to on, a ojciec, kiedy już go minęli, pokazał im tylko dom, w którym mieszkał. Innym razem aresztowano dwóch braci Zakrockich – w tarnowskim więzieniu zakatowano ich na śmierć, wybijając im najpierw oczy. Aresztowano również ich kuzyna Fenrycha, którego rodzice byli właścicielami Pudliszek, a który razem ze mną służył do Mszy św. Czy przeżył, nie wiem, ode mnie był nieco starszy. Wszyscy oni należeli do uprzednio wysiedlonych, dlatego szczególnie w tym środowisku aresztowania wywołały duże poruszenie.

Kiedy wybuchło powstanie warszawskie, niektóre transporty z ludźmi przejeżdżały przez nasze miasto; przewożeni krzyczeli do nas: „Warszawy już nie ma!”. Wieziono ich do Oświęcimia.

W lipcu i sierpniu były coraz częstsze łapanki, w jednej z nich zostałem i ja schwytany. Przewieziono nas na policję, gdzie w piwnicach budynku czekaliśmy na dalszy los. Mnie odtransportowano najpierw do Klikowej i skierowano do obozu pracy zorganizowanego w pomieszczeniach gospodarczych tamtejszego majątku. Spaliśmy w oborach, na jakimś barłogu, na miejscu krów, bo te już wcześniej zarekwirowało wojsko. Codziennie rano budził nas krzyk: „Aufstehen!”

(Wstawać!) i szliśmy kopać strzeleckie rowy. To prawda, zbliżał się front radziecko-niemiecki, ale czy zdały się na coś, raczej wątpię, bo Rosjanie zajęli Tarnów bez wystrzału. Prace te organizowała jednostka niemiecka TOT, do której należało zabezpieczanie frontu. Raz na tydzień w nagrodę każdy dostawał kwaterkę wódki i paczkę papierosów „Juno”. Nie muszę dodawać, że po moją porcję natychmiast zgłaszali się chętni, by wymienić ją na kromkę chleba. Sądzę, że chodziło raczej o rozpijanie Polaków niż o wynagradzanie. Obstawa nie była dość szczelna, więc zdarzały się często ucieczki. To sprawiło, że w końcu przeniesiono wszystkich do obozu karnego w Tarnowcu. Warto dodać, że w obozie byli nie tylko mężczyźni, ale także były kobiety, które tak jak nas chwymano w ulicznych łapankach.

Od razu dało się odczuć, że to już nie przelewki, cały teren ogrodzony, na środku placu szubienica, a pilnował nas oddział ukraińskiego SS Galizien pod dowództwem nie tylko oficera ukraińskiego, bo ten podlegał jeszcze oficerowi niemieckiemu z formacji SS. Spaliśmy w zabudowaniach gospodarczych wprost na ziemi, na barłogu ze słomy. Raz na dzień z kotła wydawana była zupa przy akompaniamencie krzyku „los, los” jakiegoś esesmana. Była to jakaś kreatura niemiecka ubrana w zielony mundur z trupimi czaszkami, chyba przeniesiona wprost z Oświęcimia. Nie miałem nawet menażki, aby po tę „lubrę” iść. Rano była chyba jakaś pajda chleba, chociaż nie całkiem potrafię to sobie przypomnieć.

Naturalnie, tu nie było mowy o alkoholu i papierosach, które dostawaliśmy co tydzień w Klikowie, nawet nie było wody, by trochę się obmyć. Do pracy chodziłem więc głodny, by kopać rowy przeciwpancerne na głębokość 2,5 metra.

Najczęściej to mnie wpychano do wyrzucania z dołu ziemi, a odbierał ją jakiś osiłek, któremu ciężko było nastarczyć na czas wykopanej ziemi. Trudno mierzyć siły piętnastoletniego chłopaka z trzydziestoletnim mężczyzną. Kopaliśmy zaś pod okiem strażników z karabinami. Myślę, że na dłuższą metę tego bym nie wytrzymał, bo już dostawałem gorączki. Z opresji wybawiła mnie moja matka, która z najmłodszym bratem przyszła do obozu z chlebem. Przy szlabanie u wejścia na jego teren wdała się w rozmowę z oficerem ukraińskim, błagając go, aby mnie wypuścił ze względu na mój młody wiek. Na szczęście było tam trochę zamieszania, bo akurat przyprawiono nowy transport złapanych ludzi. Zajmował się nimi oficer niemiecki, który sprawdzał dokumenty. Mój Ukrainiec stale na niego zerkał i kiedy widział, że jest bardziej zajęty, kiwnął, że mam uciekać. Przesmyknąłem się pod szlabanem, bez dokumentów, które pozostały w komendzie obozu. Uszczęśliwiony z matką i bratem co sił wracałem do domu. Dziś uświadamiam sobie, że gdyby ktoś niezyczliwy zwrócił oficerowi niemieckiemu uwagę na to, co się dzieje, zawisłbym na owej szubienicy. Do końca wojny musiałem się ukrywać, bo złapani bez dokumentów mogłem oczekiwać najgorszego. I tak z jednej strony Polacy doznali od

nacjonalistów ukraińskich wielu cierpień, m.in. poniosła od nich śmierć zakonnica Agnieszka Poniecka, siostra matki mojego ojca i jego chrzestna. Pracowała na Wschodzie, niedaleko Stanisławowa. Wraz z towarzyszkami i miejscowymi Polakami zginęła w drewnianym kościele, w którym ich zamknięto i który następnie podpalono. I oto ja muszę dać inne świadectwo, że dzięki Ukraińcowi ocalałem. Do dziś zadaję sobie pytanie: Co się stało z pozostałymi w obozie, czy ocalili? Podobno w drodze do obozu w Oświęcimiu, gdy zbliżał się front, wszystkich wymordowano.

Front zaś zbliżał się coraz bardziej, coraz częściej trzeba było schodzić do piwnic, kiedy nadlatywał jakiś samolot. Okna domów musiały być zaciemnione, ale zamiast lęku budziła się w każdym nadzieja na zbliżający się koniec. W początkach stycznia 1945 roku nastąpiło bezkrólewie – władze gdzieś puciekały, czasami pojawiał się jakiś niemiecki patrol, całe wojsko wycofało się na linię Dunajca, gdzie, sądząc po rozlegającej się kanonadzie, która przetaczała się nieprzerwanym grzmiotem po niebie, trwały zacięte walki. W czasie bezkrólewia zaczęto rozbijać magazyny i wykradać znajdujący się tam towar. Nikt nie reagował, nawet na pojawiające się czasami niemieckie patrole. Nagle pewnego styczniowego poranka zaczęły wkraczać wojska radzieckie, początkowo niepewnie. Ubrani na biało żołnierze, z gotowymi do strzału pepeszami, rozglądali się po oknach kamienic. Za pierwszymi oddziałami

mi pojawiły się inne, ulice się zaroily od nadciągającego wojska, które całymi dniami przepływało przez miasto.

Niektórzy wesoło pytali stojących: „Skolko do Berlina?”. Kiedy słyszeli odpowiedź: „O już niedaleko” – przyjmowali to radośnie. Po regularnym wojsku szli tzw. maruderzy, wszelkiego rodzaju hałastra, która rabowała i kradła, co się dało, ściągając nawet z rąk zegarki czy pierścionki.

Najradośniej jednak wszyscy witali żołnierzy w polskich mundurach, którzy jechali wszelkiego rodzaju pojazdami, nie tylko samochodami, ale i podwodami konnymi, strzelając po drodze na wiwat. Była to II armia WP dowodzona przez gen. Świerczewskiego. Niemcy, uciekając, powysadzali wiele mostów w powietrze, trzeba było je teraz jakoś odbudować. Rosjanie zaprzęgli do pomocy Polaków, wcale nie pytając o zgodę. I tak znowu wypadło na mnie, że razem z Rosjanami i jakimś Kałmukami, którzy nie znali nawet języka rosyjskiego, budowałem most na rzece Białej. Na noc puścili nas do domu, zaopatrując w jakąś „bumażkę”, która, jak się okazało, była bardzo potrzebna. Wracając po ciemku – ulice nie były jeszcze oświetlone – z kolegą Janem Biernatem, też wysiedleńcem, usłyszeliśmy na skrzyżowaniu wołanie: „Stoj, bo strielam”. Odpowiedziałem: „Swoi, nie strielaj”. Gdy podszliśmy bliżej, zobaczyliśmy, że to ubrana w mundur rosyjska dziewczyna. Zapewne sama w wielkim strachu, bo w całkowitych ciemnościach ani ona nie widziała nas, ani my jej.

Obejrzała „bumażkę” i kazała iść dalej. Mieliśmy tylko jedną przepustkę, którą oddałem mojemu towarzyszowi niedoli, a sam już bez żadnych dokumentów – chociaż była to godzina policyjna, tak jak doświadczaliśmy tego przez cały okres wojenny – szczęśliwie dotarłem do domu. Kiedy ukonstytuowały się jakieś władze, zaczęło się polowanie na folksdojczów, steindojczów, m.in. na mojego pryncypała Steindla. Zdołał jednak wcześniej gdzieś się ukryć.

Wysiedleńcy coraz częściej myśleli o powrocie do swoich domów. Jak tylko front oddalił się bardziej na zachód i ruszyły pociągi, spakowaliśmy swój dobytek i w pierwszych dniach marca 1945 roku ruszyliśmy w drogę powrotną. Pociągi były naładowane podróżnymi; ludzie, nie zważając na niebezpieczeństwo, wprost oblepiali wagony, jechali na stopniach, a nawet na dachach wagonów, byle szybciej dotrzeć na miejsce. Tego rodzaju podróże trwały jeszcze wiele miesięcy, a nawet lat po wojnie. Wielka bestia ideologii nazistowskiej dogorywała razem z jej wyznawcami i wielkim guru ukrywającym się w berlińskim bunkrze. Pozostawiła po sobie stosy trupów, zniszczonych miast i wiosek. Nie było rodziny, która nie opłakiwałaby kogoś bliskiego. Większość niemieckiego narodu uwierzyła swojemu wodzowi, oddając mu cześć przysługującą jedynie Bogu. Teraz Hitler przeżywał swoje noce trwogi. Wiedział, że jeśli sam sobie nie wymierzy kary, zrobią to za niego inni.

Zanim do swych domów powrócili prawowici właściciele, uzurpatorzy i ci, których nie na swoim osadzono, nie zważając na śniegi i trzaskające mrozy, co tchu uciekali przed zbliżającym się frontem. Tymczasem przepełnione ludźmi wagony, które z Tarnowa wyruszyły z powracającymi, po kilku dniach dotarły do końcowej stacji, do Krobi. Już tylko kilka kilometrów stąd czekał upragniony cel, rodzinny dom i wioska Domachowo. W ten sposób skończyła się nasza wysiedleńcza odyseja.

PO POWROCIE

Naszemu powrotowi z wygnania towarzyszyły mieszane uczucia – z jednej strony radość, że skończyła się udręka, z drugiej niepewność, co zastaniemy.

Powracająca rodzina dotarła do stacji końcowej, musiała jedynie przesiąść się na „ciuchcie” zdążającą do Gostynia, by znaleźć się u celu. Mnie pozwolono wsiąść na rower, którym w Tarnowie posługiwał się ojciec w czasie pracy. Jechałem, ciekawie się rozglądając, bo droga była mi nieznaną. Przed wojną nie pozwolono by mi na taką samodzielną eskapadę, teraz, o pięć prawie lat starszy, jechałem, odkrywając nieznaną mi widoki. W końcu wśród drzew ukazał się piękny drewniany kościółek, położony na małym wzniesieniu. Był widoczny z daleka.

Sama wioska kryła się jeszcze, chowając swoje domy w niewielkiej dolinie. Na przeciwległym wzniesieniu, wśród



„Wśród drzew ukazał się piękny drewniany kościółek”.

zieleni drzew i krzewów, znajdował się nasz dom zwany „dworkiem”. Wjechałem w szeroko otwartą bramę, ozdobioną dwiema kulami, by dalej jadąc niewielką alejką, natrafić na klomb – niegdyś miejsce moich zabaw. I oto znalazłem się przed domem, z którym łączy się tyle wspomnień.

Wszedłszy po schodach i dalej przez werandę, znalazłem się w dużej sieni, która w dzieciństwie służyła nam za



„I oto znalazłem się przed domem, z którym łączy się tyle wspomnień”.

bawialnię. Usłyszałem z lewej strony głosy – dom nie był pusty, głosy dochodziły z jadalni. Okazało się, że, chociaż ojciec pozostawił w domu plany z zamiarem dobudowania kuchni i sanitariatów, nie skorzystano z nich i idąc na skróty, przerobiono jadalnię na kuchnię. W niej krzątała się teraz ciocia, dziadkowie i siostra Marylka, by przygotować dla wracających jakiś posiłek. Dzięki temu, że przebywali na miejscu, dom nie został rozgrabiony. Niemcy, uciekając co sił przed zbliżającym się frontem, zabrali co cenniejsze rzeczy, zapakowali na będące własnością ojca dwie powózki, krytą budę i sanie. Każdy pojazd zaprzężony w dwie pary koni. Uciekali do swoich, gubiąc po drodze zamrożone niemowlęta. Wszedłszy do kuchni, przywitałem się z rodziną serdecznie.

Wszyscy nieco się postarzel, siostra z pięciolatki wyrosła na dziesięciolatkę. Nie omieszkałem oczywiście nazwać jej kozą, co z jej strony nie spotkało się z aprobatą. Po rozejrzeniu się zauważyłem na szczycie kredensu coś podobnego do młynka. Wziąłem to do ręki, było ciężkie, miało na powierzchni jakby kostki; korciło mnie, aby odkręcić i zajrzeć do środka, ale szczęściem dla mnie i całego otoczenia odstawiłem to na miejsce. Stało tam jeszcze kilka tygodni, aż do przyjazdu kompanii żołnierzy z II armii, która się u nas zakwaterowała. Ten „dziwny” przedmiot zauważył również jeden z oficerów i zaskoczony zapytał: „Co to, skąd to macie?” i zabrał ze sobą. Okazało się, że był to granat. Pozostawili nam go w prezencie uciekający Niemcy.

Opustoszyli oni naszą stajnię. Jedyne dwa wyrosnięte źrebaki udało się przechować zaprzyjaźnionemu z naszą rodziną pracownikowi. Każdego dnia dochodziły do nas odgłosy wojny – to z oblężonego Wrocławia słyhać było nieustanną kanonadę. Zdążyły w tym kierunku nowe oddziały wojska. I tak jak na początku wojny wojska niemieckie, tak u jej końca wojsko polskie, dokładnie kompania II armii, zawitało w nasze obejście i rozlokowało się na kwaterze w podwórzu. Było to wojsko polskie, ale już jakieś inne. Kompanią dowodził rosyjski major, zresztą bardzo grzeczny; jego zastępcą był porucznik kaleczący język polski. Ten traktował nas jako „wrogów ludu”. Wkrótce pokazał, co potrafi, gdy tylko jego dowódca musiał wyjechać. Kiedy pozostał sam,

zbuntował część żołnierzy i urządził nam niezłą zabawę, ale o tym później.

Po dokładnym obejrzeniu domu i wszystkich jego zakamarków przyszła kolej na budynki gospodarcze: stajnię, oborę, świniarnię, kurnik, spichlerz i dwie stodoły. Przy tym intensywnym zwiedzaniu budynków gospodarczych towarzyszył mi pozostawiony przez Niemców pies Rolf. Wspinaliśmy się w stodole na wysoką stertę słomy, gdy w pewnej chwili spadłem na klepisko tak nieszczęśliwie, że złamałem czy tylko zwichnąłem sobie rękę w ramieniu.

W każdym razie polskie wojsko zawiozło mnie do tzw. Marysina – jedyne w okolicy szpitala. Był w nim dyrektorem, chirurgiem, internistą i wszystkim innym jedyny lekarz o nazwisku Lutelmann. Miał tylu pacjentów, że mój przypadek oddał „do naprawy” swojemu synowi, który, ponieważ miał kiedyś zamiar studiować medycynę, co zresztą nigdy mu się nie udało, pełnił w tym szpitalu funkcję drugiego lekarza. Ubrany w biały kitel razem z ojcem obchodził szpitalne sale, udając, że coś z tego rozumie. Jemu to i przełożonej pielęgniarce, chyba w owym synku zakochanej – wnosiłem to po spojrzeńcach i rumieńcach, jakimi oblewała się na jego widok owa już nie tak młoda siostrzyczka – zostałem powierzony. Zabrali się ochoczo do dzieła, położyli mnie na stół operacyjny, założyli maskę tlenową, nalewając na nią eter. Zachowywałem się jednak niezbyt cicho, bo uderzałem butami jeden o drugi, więc wołali: „Nie trzaskać!”, dolali jeszcze trochę eteru i kazali

liczyć. Doliczyłem chyba do pięciu i znalazłem się w czarnym tunelu, który nie miał końca. Straciłem przytomność, a kiedy się obudziłem widziałem zdyszanych „doktorów” i siostrę, jak siedzieli, odpoczywając i patrząc na mnie z przerażeniem. Podobno nie mogli mnie dobudzić, ale siostrzyczka zrobiła fachowy opatrunek i zabrali mnie na szpitalne łóżko. Kiedy później Lutelmann przy obchodzie kazał mi podnieść rękę, mogłem to zrobić, ale nie do końca. Popatrzył pytająco na synka, a ten zalecił mi odpowiednią gimnastykę owej ręki, co i tak na nic się zdało. Tak więc do dziś mam rękę nie do końca zoperowaną, ale Bogu dziękuję, że wyrwał mnie z ich rąk i pozwolił jeszcze żyć. Kiedy wróciłem po mniej więcej tygodniu do domu, wojska już nie było.

Dowiedziałem się, że kiedy ich dowódca, Rosjanin w randze majora, wyjechał, zastępca wyznania mojżeszowego, ale wyznający, sprzeczną ze swoją wiarą, komunistyczną zasadę „co wasze, to i nasze”, postanowił zamknąć całą moją rodzinę, by następnie rabować, co się dało. Wojsko miało urządzić sobie piknik, przetrzebić nieco kurnik, wypróżnić spizarnię, przetrząsnąć dom. Gdy już wszystko było przygotowane do uwięzienia, nagły powrót majora to uniemożliwił. Za karę musieli wszyscy iść pieszo do Rawicza, na czele z owym bojowym porucznikiem.

Major był sympatycznym człowiekiem, pięknie grał na fortepianie i smażył cholewki do mojej najstarszej siostry, ale nic z tego nie wyszło. Dowiedzieliśmy się później od tych,

którzy chcieli u nas przechować jakieś wojenne łupy, że toczyli krwawy bój pod Budziszynem.

Wreszcie zakończyła się wojna, ale rozpoczęła walka władzy komunistycznej z narodem i wprowadzanie nowych porządków. Okres powojenny do 1948 roku był czasem nieśmiałego jeszcze podporządkowywania narodu nowej władzy, całkowicie posłusznej dyrektywom Moskwy, ale mającej pozory demokracji. Zaczęło się od tzw. reformy rolnej, której celem nie tyle było uwłaszczenie chłopów pańszczyźnianych, co ich upaństwowienie i skolektywizowanie. Okazało się, że nie wszyscy wysiedleni mogli wrócić do swojej własności: nie mieli tego prawa, jeśli ich gospodarstwa liczyły więcej niż 100 hektarów albo, na nieszczęście, byli posiadaczami jakiegoś przedsiębiorstwa, kamienicy czy sklepu. Władza komunistyczna miała na celu przede wszystkim skolektywizowanie rolników indywidualnych i uczynienie ze wszystkich „ludu pracującego”.

Wróciliśmy do swojej własności, ale warunki pracy rolnika były już całkiem inne, zwłaszcza rolników większych, których nazywano pogardliwie kułakami. Więksi rolnicy nie tylko czuli się, ale byli prześladowani. Myśliwską broń, którą przed Niemcami zdołano pod dachem przechować, teraz należało oddać komunistom. Sztucer, aby go nie ujawniać, sam wrzuciłem do studni. Sztandar powstańców wielkopolskich również się uratował – ojciec oddał go w końcu do Muzeum Regionalnego w Gostyniu. Ciężko było uruchomić



Moja praca przy żniwach

gospodarkę: brak ludzi chętnych do pracy, brak koni, maszyn. Długoletni pracownik zajmujący się końmi przyszedł się pożegnać, ponieważ zaoferowano mu gospodarstwo pod Wschową. Ojciec w poszukiwaniu maszyn wyruszył na Ziemię Zachodnie, gdzie w Złotoryi kupił jakiś poniemiecki traktor. Pozostawiony przez wojennych gospodarzy ciągnik marki „Doitz” był trudny do uruchomienia; trzeba było wkręcać zrobione ze szmat i uprzednio rozgrzane cygara, a potem kręcić z całych sił korbą. „Niemiec” nie dawał się tak łatwo zapuścić, może dlatego że robił to Polak. Były jeszcze woły, z którymi wychodziłem w pole orać, ale to bardzo powolne i nie zawsze posłuszne zwierzęta. Kupiony na zachodzie



Układanie stogu (nie drap się)

przez ojca tzw. buldog, traktor o wyższej technice, stał się prototypem późniejszych „Ursusów”. Kontyngenty i obciążenia finansowe rolników były tak duże, że, aby się z nich wywiązać, ojciec oprócz uprawy zbóż zajął się bardziej dochodowym nasiennictwem. Dużym postępem była ułatwiająca sprzęt zboża snopowiązałka, niestety przeszkadzał częsty brak sznurka. Snopki ustawiano w mendle, a przy koszeniu żniwiarką trzeba je było wiązać.

Mimo ciężkiej pracy władze ciągle wymyślały nowe obciążenia. Obowiązkowe odstawy zboża były nieraz tak duże, że zebrane plony z własnego gospodarstwa nie wystarczały, by je zaspokoić; jeździli więc niektórzy na ziemię tzw.

odzyskane po zakup. Jak wyglądała wówczas sytuacja na wsi, obrazuje list napisany przez ciocię Stanisławę do swej siostry Heleny, którego fragment przytaczam:

U nas w tym roku będzie biedna Gwiazdka, bo nie ma masła, a na kupno nie ma pieniędzy. Świnia do zabicia jest w projekcie, jeżeli jej kto inny nie zabierze. Koniec świata się tu robi z tą odstawą zboża – w 100% musi być oddane – a zboża nie ma, więc zamienniki świnie i mleko. Urszula miała iść siedzieć, bo Jasiu niezdatny do siedzenia – chory. Zobowiązała się zapłacić karę, więc przyszła z powrotem. Wszystko chodzi udręczone, ludzie jadą na Zachód drogo zboże kupować i odstawiać.

Stare przysłowie mówi „Gospodarz na zagrodzie równy wojewodzie” i właśnie ta niezależność indywidualnych gospodarzy była solą w oku komunistów. Nic dziwnego, że najbardziej uwierało ich istnienie takiego gospodarza jak mój ojciec, którego z założenia należało zniszczyć.

Kiedyś do Krobi przyjechał przewodniczący Rady Państwa Aleksander Zawadzki i jedno z pierwszych pytań, jakie postawił tamtejszym urzędnikom, brzmiało: „Jak stoi Sierpowski?”. Odpowiedzieli: „Ze wszystkiego się wywiązuje”, a na to usłyszeli: „On nie może się wywiązywać!”. Podobnie w „Głosie Wielkopolskim” zamieszczono szkalujące nas trzy artykuły pt. *W Domachowie rączka rączkę myje*. Gdy to nie pomogło, w czasie wymiany pieniędzy przyjechała do nas cała obstawa konwoju bankowego i pod pretekstem szuka-

nia broni, dolarów, zaczęła demolować dom. Innym razem, w okresie spiętrzenia robót polowych, UB zamknęła ojca i przetrzymywała w swoich piwnicach. Podczas przesłuchań stosowano najrozmaitsze szykany: do skroni przystawiano pistolet, grożąc, że zostanie użyty, ciągnięto za wąsy, kazano jeść ze wspólnej miski z innymi więźniami, spać na wąskiej pryczy z drugim itp. Powrócił do domu po dwóch tygodniach z powyrywanych rękawami ubrania i poobrywanymi guzikami. W takiej sytuacji ojciec oddał 40 hektarów pod uprawę Gospodarstwu Nasiennemu w Ziółkowie na okres 8 lat. Z kolei po upływie tego czasu rozpoczęła się walka o odzyskanie ziemi. Podziwiałem zawsze upór i siłę woli ojca, że mimo wszystko się nie załamał, ale trwał na swoim postępowaniu gospodarza i żywiciela rodziny.

DOŚWIADCZANIE ZŁA KOMUNIZMU

Cały okres panowania systemu komunistycznego w powojennej Polsce aż do jego upadku w 1989 roku dzieliło tzw. planowanie gospodarcze. Zaraz po wojnie wyznaczono Polakom trzyletni plan odbudowy. Przez te trzy lata Polacy mieli za zadanie odbudować kraj po wojennych zniszczeniach. I rzeczywiście wszyscy z zapałem zabrali się do tego. Widać to było najbardziej w większych miastach, szczególnie w Warszawie, i nie oglądano się wówczas na to, ile z tego będą miały – pracowano często bezinteresownie.

Po planie odbudowy ogłoszono ludziom, że teraz będzie realizowany sześcioletni plan sytości, który ma doprowadzić do zaspokojenia wszystkich potrzeb. Po tych dwóch planach przyszedł czas na pięcioletnie plany rozwoju. Szybko jednak okazało się, że ani sytości, ani rozwoju, mimo wielkiego wysiłku świata pracy, nie było widać.

Cały dorobek ludzi pracujących w różnego rodzaju przedsiębiorstwach gdzieś znikał. Ludzie uświadomili sobie, że do naszego narodowego stołu musiał się ktoś przysiąść i co lepsze kęski z niego zabierać. Wywożono zaś nie tylko dobra przemysłowe, kopalniane, ale i produkty żywnościowe wypracowane przez rolników.

Kierunek był najczęściej ten sam – na wschód, bo tam był worek bez dna i apetyty zawsze nienasycone. Trzeba było zaspokajać nie tylko potrzeby Kraju Rad, ale i zamiary wywoływania rewolucji w różnych częściach świata. W kraju pozostawały resztki, które należało jakoś dzielić, nie zawsze sprawiedliwie. Wierni członkowie partii dostawali lepsze kęski, reszta społeczeństwa to, co pozostało. Dla wszystkich nie mogło wystarczyć, towar trzeba było reglamentować. Wymyślono więc talony, nagrody za wierną służbę, przydziały, kartki. Czy można się więc dziwić tym, którzy najwięcej dawali z siebie wysiłku, że w końcu zaczęli się buntować i domagać należnych im praw? I dlatego tak jak cykliczne były plany gospodarcze, tak również cyklicznie pojawiały się bunty, które niestety pociągały za sobą wiele ofiar. Partia, aby uspokoić nastroje po tego rodzaju wydarzeniach, powoływała nowe władze i nowych pierwszych sekretarzy. I tak po Bierucie nastąpił Ochab, po nim Gomułka, po Gomułce przyszedł Gierek, a po tym ostatnim Jaruzelski.

Po każdej takiej wymianie partyjnych ekip komunistyczna władza dawała narodowi i związanemu z nim Kościołowi

nieco więcej swobody, by po kilku latach znowu przykręcić śrubę, w myśl leninowskiej zasady „dwa kroki naprzód, jeden w tył”, ale zawsze komunizm miał się utrzymywać, a naród i z nim związany Kościół – osłabiać.

Dla komunistów jeszcze ważniejsza walka toczyła się w szkołach, chodziło o umysły i serca dzieci i młodzieży. Komuniści wiedzieli, że nie wprowadzą swoich porządków, jeśli nie zmieni się światopogląd Polaków. Stąd stała i wieloletnia indoktrynacja w szkołach. Celem nauczania miało być przekazanie dzieciom i młodzieży materialistycznego poglądu na świat. By tego dokonać, należało ze szkół usunąć religię, zniekształcić historię, wyeliminować patriotyczną lekturę. Zlikwidowano wolne harcerstwo, organizacje młodzieżowe, ZWM, OMTUR, ZMD, a w ich miejsce powstała jedna organizacja: ZMP. To samo stało się z partiami politycznymi – zastąpiła je wszechwładna PZPR. Nastąpiły zmiany w wojsku, marszałka Żymierskiego zastąpił Rokossowski, zmieniano nazwy ulic i miast, Katowice stały się Stalinogrodem, aleja Niepodległości w Poznaniu aleją Stalingradzką, to samo działo się z nazwami zakładów, hut, kopalń itp.

Rozpoczęła się też długoletnia walka władzy komunistycznej z Kościołem, który jako jedyny niezależny, wolny nie dał się tak łatwo podporządkować i zniewolić. Do więzienia trafiło wielu kapłanów, biskupów z Prymasem Polski na czele. Niektórych kapłanów skrytobójczo zamordowano. Podzielili

oni los wielu świeckich patriotów wywiezionych na Syberię, uwięzionych i skazanych na śmierć. Wszystkie słowa, drukowane, a nawet mówione, miały być poddane cenzurze. Mowy nie mogło być o budowaniu jakichkolwiek obiektów sakralnych, nowych kościołów, salek katechetycznych czy plebanii. Jedynie sporadycznie udawało się uzyskać od władz zezwolenie na remont jakiejś starej stodoły, browaru, chlewika, czy uzyskać zgodę na postawienie wiaty osłaniającej ludzi uczestniczących pod gołym niebem w nabożeństwach. Ku zaskoczeniu władz wyłaniały się z nich kościoły, salki katechetyczne czy plebanie. Pan Jezus powiedział: „Bądźcie przebiegli jak węże, a prości jak gołębice”, z takim poleceniem wyprawił uczniów w świat, w którym mieli głosić Ewangelię. Mieli głosić słowo Boże w świecie, w którym obowiązywały nie prawa ewangeliczne, oparte na Boskich przykazaniach, ale prawa często nieludzkie, oparte na samowoli dyktatorskich ustrojów. Do takich ustrojów należał w Polsce Ludowej cały system prawny władzy komunistycznej. Konstytucja tzw. ludowa i uchwalane wówczas prawa były najczęściej bezprawiem, pozbawiały ludzi podstawowych praw, takich jak prawo do wolności, swobodnego wyrażania swoich poglądów czy posiadania własności. Takimi prawami kierowali się wówczas prokuratorzy, na takich prawach oparte były także sądy i wydawane przez nie wyroki.

Kościół i kapłani musieli dostosować wykonywanie swojej misji do sytuacji wówczas panującej, musieli przyjąć

postawę podwójną – albo przeciwstawiając się jawnie takiemu prawu, stawiać wszystko „na ostrzu noża”, albo nie wojsować wprost, ale je ignorować jako nieistniejące. Kierując się zasadą sprzeciwu, Kościół musiałby zejść ze swoją działalnością do podziemia. Naród i z nim Kościół musiał wówczas żyć i działać w warunkach bezprawia. Przyjęła się zasada, że „prawo jest po to, by je omijać”. Miało to oczywiście ujemne skutki w ludzkich postawach, które do dziś mają swoje reperkusje, ale umożliwiała działalność i zabezpieczała przed całkowitym zniewoleniem.

Kapłani, którzy obejmowali parafię czy jakieś inne stanowisko, wzywani byli do Urzędu do spraw Wyznań, gdzie wręczano konstytucję i zobowiązywano do przestrzegania jej i obowiązującego prawa. Każdy zdawał sobie sprawę z tego, że jego zobowiązanie będzie mogło się odnosić tylko do tych przepisów, które będą zgodne z jego sumieniem; bezprawne, ze swej zasady, nie mogły nikogo obowiązywać.

Były więc granice przestrzegania takiego prawa. Kościół musiał iść na ograniczony kompromis, by działać, a nie narazić się na całkowite zniszczenie. Dzięki temu kapłani mogli nadal głosić w swoich kościołach Ewangelię i udzielać sakramentów. Zdarzało się, że korzystali z nich nawet niektórzy z funkcjonariuszy i członkowie ich rodzin. Postawa wyciągniętej ręki stępiała wrogie nastawienie tych, którzy mieli umacniać tzw. władzę ludową. Jawna walka z systemem doprowadziłaby do sytuacji, w jakiej znalazł się Kościół w Czechosłowacji, gdzie



Millenium – manifestacja wiary

kapłani, zamiast pełnić swoją podstawową misję, myli wystawowe szyby czy jako robotnicy pracowali w fabrykach, a może w gułagach, jak w Związku Radzieckim. To nieprawda, że tylko dzięki podziemnej działalności działaczy solidarnościowych doszliśmy do niepodległości; jeszcze w większej mierze stało się tak dzięki zachowanej w narodzie wierze. To kapłani, żyjąc i pracując z ludźmi i dla ludzi, tę wiarę umacniali. I nie można było pytać, gdzie kto pracuje, czym się aktualnie zajmuje – ważne, że jest to człowiek, który im dalej od Boga, tym większej potrzebuje pomocy. Jezus nikogo nie skazywał na potępienie, wprost przeciwnie – „lekarza potrzebują chorzy, a nie zdrowi”. Na potępienie zasługują często czyny, ludzkie zachowania, ale nie człowiek. Kapłanowi nie wypadało

przed nikim zamykać drzwi swojej plebanii. Inna sprawa, że ludzie złej woli często tego nadużywali i do dziś nadużywają, stawiając łatwowiernych w dwuznacznej sytuacji.

Wielkim nadużyciem jest twierdzenie, że dziesięć procent duchowieństwa poszło na współpracę i w sposób świadomy stało się agentami. Jak wiadomo, do obowiązków pracowników UB należało także odwiedzanie plebanii, by zasięgać języka w terenie. Udawało się im czasem znaleźć bardziej wymownych i naiwnych, którzy nie zdawali sobie sprawy z tego, że to, co powiedzą, będzie potraktowane jako zdobycz, którą ubecy będą mogli się pochwalić przed swoimi przełożonymi, nadając najpierw swemu rozmówcy jakiś pseudonim. W ten sposób, nie wiedząc nawet o tym, stawali się agentami, ale czy świadomymi? Tak naprawdę tajnymi i świadomymi współpracownikami, którzy zgodzili się na współpracę, było pośród duchowieństwa nie więcej niż jeden procent.

Władza usiłowała podporządkować sobie wszystkie dziedziny życia społecznego. Temu celowi służyła tzw. dyktatura proletariatu. Dyktowano wszystkim i każdemu z osobna, także prasie, radiu, telewizji, różnym organizacjom podległym władzy, co mają mówić, co pisać, jak działać. Jeśli ktoś nie od razu chciał się podporządkować, wzywano „na dywanik”, pozbawiano pracy, a jeśli i to nie pomogło, urządzano mu proces, najlepiej pokazowy, aby był nauczką dla innych. Instrukcje szły z centrali, wysyłał je „Wielki Brat”. Ciekawe, że oprócz tego „brata” i posłusznych mu mocodawców

najbardziej skrwawione ręce mieli wychowankowie paryskiej Sorbony, tacy jak: Ho Szi Minh, Pol Pot czy Enver Hodža w Albanii. Czarna księga komunizmu oblicza, że komunizm pozostawił po sobie sto milionów ofiar. Produkcja drutu kolczastego w Związku Radzieckim, jak pisze Ryszard Kapuściński w *Imperium*, była najbardziej strategicznym przedsięwzięciem. Artykuł ten potrzebny był gułagom, na granicach, aby nikt z „komunistycznego raj” nie mógł się wydostać.

Najweselszym „barakiem” w całym obozie socjalistycznym była Polska. Polacy umieli bronić się przed zniewoleniem, opowiadając najrozmaitsze kawały, np. o tym jak nauczyciel opowiada uczniom o rewolucji październikowej: „Wybuchła w październiku, choć tak naprawdę było to w listopadzie; działo się to w Piotrogradzie, choć tak naprawdę w Petersburgu, czyli w Leningradzie; wywołali ją bolszewicy – nazywani tak od słowa «większość», choć tak naprawdę byli w mniejszości, a na ich czele stał Lenin, który tak naprawdę nazywał się Włodzimierz Iljicz Uljanow... Nic dziwnego, że choć miała przynieść ludziom szczęście, tak naprawdę przyniosła nieszczęście – odezwał się Jaś”.

Tak więc cała ideologia komunistyczna opierała się na kłamstwie. Moje pokolenie i następne poddane zostały kłamliwej indoktrynacji. Na miejsce Boga postawiono materię. Prawa naturalne i przykazania zastąpić miało prawo stanowione przez partię i posłuszne jej parlamenty; historię powszechną i narodową zastępowano historią ruchów robot-

niczych. Prawdą miało być to, co służyło utrwalaniu władzy komunistycznej; była to prawda utylitarna, a nie obiektywna. Wolność i dobrobyt przysługiwały tylko posłusznym i oddanym. Nic więc dziwnego, że wielu się załamywało i to nawet wśród pisarzy, wykładowców, sędziów, nauczycieli, nie mówiąc o dziennikarzach i prokuratorach, którzy z urzędu musieli współpracować. Miało to swoje reperkusje nie tylko w okresie komunizmu, ale sięgało czasów postkomunistycznych. Wielu ludzi, a nawet całe grupy społeczne, nie tylko w Polsce i obozie socjalistycznym, uległy umysłowemu skażeniu, które do dziś pokutuje. Propaganda komunistyczna oddziaływała nawet na całą Europę i świat, tak że do dziś narodom trudno się od niej uwolnić.

Tymczasem ja miałem dopiero wejść w swoją dorosłość.

POWRÓT DO SZKOŁY

W e wrześniu 1945 roku, mimo że byliśmy potrzebni w gospodarstwie, wszyscy wyruszyliśmy do szkół. Najstarszy Zygmunt udał się do Gdańska studiować medycynę, a przy okazji robić maturę. Odwiedziłem go kiedyś w Gdańsku Wrzeszczu, bo tam mieściła się uczelnia. Sam Gdańsk przedstawiał jedną wielką ruinę, ulice zavalone były stosami gruzu. Na Westerplatte zachwyciły mnie olbrzymie, rozbijające się o falochron morskie fale. Po raz pierwszy widziałem wówczas morze. Dwie starsze siostry poszły do szkoły prowadzonej przez siostry urszulanki w Pniewach, ja z moim młodszym bratem Michałem zamieszkałem w konwikcie prowadzonym przez księży filipinów; stąd codziennie maszerowaliśmy do gimnazjum gostyńskiego, często ze śpiewem. Młodszy brat Janek i najmłodsze siostry chodziły do szkoły podstawowej. Najweselej było w czasie wakacji.



*Konwikt Księży Filipinów na Świętej Górze
w Gostyniu – widok od strony ogrodu*

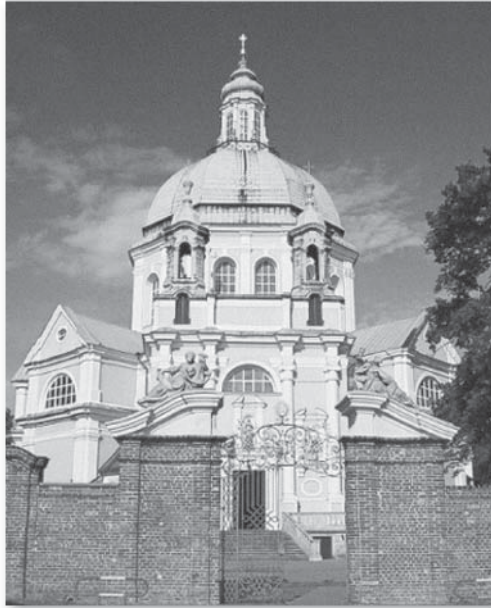
W ciągu tygodnia pomagaliśmy przy żniwach, a w niedzielne popołudnia, zwłaszcza jeśli ktoś jeszcze przyjechał, zbieraliśmy się na wspólne śpiewanie. Na jednym z takich spotkań długoletni przyjaciel najstarszego brata zapoznał moją kuzynkę i po powrocie do domu oznajmił swojej mamie: „ta albo żadna” i tak doszło do ślubu. Przychodził też w odwiedziny miejscowy kierownik szkoły i wtedy były gonitwy wokół klombu, kto pierwszy. Atmosfera przez pierwsze trzy lata powojenne była trochę zbliżona do przedwojennej, wszystko

zaczęło się psuć po 1948 roku, kiedy nastąpiły czasy tzw. stalinowskie, które trwały do 1956 roku. Zlikwidowano wszelkie niezależne organizacje, całe życie zostało podporządkowane Urzędowi Bezpieczeństwa, czyli UB.

Jak już wspominałem, zaraz po wojnie, od 1945 roku przebywałem w konwikcie Księży Filipinów. Prowadzili oni coś więcej niż internat dla chłopców z całej Polski. Było tam wielu chłopców z rodzin przed wojną ziemiańskich, które po wojnie straciły wszystko. Konwikt stał się dla nich azylem. Można tam było spotkać dwóch Radziwiłłów, jednego Potockiego, Małachowskiego, Stablewskiego, Morawskiego, Morsztyna, Pileckiego, Dziębowskiego i innych. Trzymali się nieco z boku, chociaż niektórzy szli z prądem czasu, zapisując się do takich organizacji jak OMTUR.

Większość z nas tworzyła drużynę harcerską, której drużynowym był Henryk Ostach, późniejszy kapłan i twórca Centrum Apiterapii w Kamiannej, odznaczony Orderem Orła Białego, a opiekunem duchowym – ks. Olgierd Kokościński. Był on również kierownikiem całego konwiktów, a pomagał mu ks. Jan Rataj. Konwikt istniał od 1945 do 1948 roku, po czym władze komunistyczne doprowadziły do jego rozwiązania. Przez te trzy lata stanowiliśmy dość zintegrowaną grupę.

Mieszkałem w jednym pokoju z Henrykiem Ostachem, Marianem Sobczykiem, późniejszym pallotynem, proboszczem kościoła Księży Pallotynów w Poznaniu i misjonarzem



Bazylika Księży Filipinów na Świętej Górze w Gostyniu

w Rwandzie. Był jeszcze czwarty – Władysław, nazwiska nie pamiętam, który później został nauczycielem.

Codziennie w szeregu maszerowaliśmy ze Świętej Góry, śpiewając *Hej tam z góry*, a potem przez całe miasto ze śpiewem różnych patriotycznych pieśni, w święta państwowe w mundurach i ze sztandarem drużyny.

Po odbudowie gimnazjum, założonego przez ks. Olejniczaka, przenieśliśmy się z prowizorycznych pomieszczeń do nowo odbudowanego gmachu. Na frontonie budynku widniał napis „Bogu i Ojczyźnie”, który w okresie stalinow-



Ołtarz w gostyńskiej bazylice

skim został zniszczony. W 1946 roku pod przewodnictwem opiekunów odbyliśmy wycieczkę, zwiedzając Częstochowę, na Śląsku – kopalnię, hutę, fabrykę nawozów, w Krakowie – Wawel, Sukiennice z muzeum, kościół Mariacki i całe miasto. Była to bardzo pouczająca i interesująca wyprawa. Aż dziw, że nam na to pozwolono, po 1948 roku byłoby to nie do pomyslenia. Ksiądz Kokociński w refektarzu siadał u szczytu stołu i zawsze coś ciekawego opowiadał.



Konwikciarze w refektarzu

Pewnego razu mówił o swoich wrażeniach z lotu samolotem z Poznania do Warszawy. Obok niego siedział jakiś dyrektor lecący ze Szczecina, ale co chwila wyciągał torebkę, bo mu się robiło niedobrze. Na pytanie, dlaczego podróżuje samolotem, odparł: „Wolę przez dwie godziny lecieć do Rygi niż dwa dni jechać do Warszawy”. Konwikt prowadzony przez Kongregację Księży Filipinów nawiązywał do tego prowadzonego już w XVII i XVIII wieku i istniejącej wtedy przyklasztornej szkoły.

My zdobywaliśmy wiedzę w świeckiej szkole ogólnokształcącej. Niestety, po rozwiązaniu konwiktów przez władze komunistyczne młodzież rozproszyła się. Po 1948 roku pozostały jego szczątki w postaci internatu. Rozpoczął się okres stalinowski, w którym wszystko, a zwłaszcza kształcenie młodzieży, musiało być pod ścisłą kontrolą. Grupa moich kolegów i ja, po zdaniu tzw. małej matury, czyli ukończeniu gimnazjum, przenieśliśmy się do liceum, do Krotoszyna. Początkowo mieszkaliśmy w miejscowym internacie, później u Jana Czwojdy – dalszego krewnego, który prowadził w rynku drogerię, dopóki mu jej nie zabrali. W liceum zapisałem się do klasy o profilu humanistycznym. Po zmianie dość liberalnego dyrektora Krzaka na posłusznego partii dyrektora Grajca zaczęła się indoktrynacja ideologiczna. Aktyw ZMP zasiadał w Radzie Pedagogicznej i miał swój głos w sprawie promocji kolegów. Miał także za zadanie pilnować ideologicznie niesubordynowanych nauczycieli, w czym dzielnie wspierał „czerwonego” dyrektora. Najpierw zdołano usunąć księdza prefekta, ale ponieważ obowiązywała jeszcze umowa o nauce religii w szkołach, na jego miejsce przyszedł inny, bardziej bojowy, w czasie wojny kapelan Batalionów Chłopskich. Zaczęto też zmieniać wiele podręczników, zwłaszcza historii, biologii, nauki o Polsce i świecie współczesnym, zmienił się zestaw obowiązkowej lektury. Wszystko było przesiąknięte ideologią marksistowsko-leninowską. I tak zaczęła „hartować się stal”, zaczął się kształtować *homo*

sovieticus – człowiek socjalistyczny. Ja ze swoim „kułackim” pochodzeniem nie pasowałem do tego ideału.

Język francuski i naukę o Polsce i świecie współczesnym na krótko przed maturą przejął dyrektor Graja, który jakoś dziwnie zaczął mnie dyskryminować. Do matury zostałem dopuszczony. Na pisemnym co chwilę słyszałem z ust dyrektora siedzącego przy stole prezydialnym uwagi pod moim adresem. Nie wiedziałem, co to ma wszystko znaczyć. Dowiedziałem się niebawem, że – ponieważ egzaminy pisemne wypadły dobrze – byłem dopuszczony do egzaminu ustnego. U każdego z egzaminatorów wypadłem bez zastrzeżeń, ale musiałem jeszcze zdawać u dyrektora z języka francuskiego i nauki o Polsce i świecie współczesnym i tych przedmiotów miałem nie zdać. Dyrektor bowiem uważał mnie za element wrogi socjalizmowi.

Wróciłem do domu, gdzie panowała też nie najlepsza atmosfera. Był rok 1950. Z Ziemi Zachodnich wydalono dotychczasowych administratorów pełniących w poszczególnych diecezjach funkcje ordynariuszy, usunięto większość zakonów męskich i żeńskich i co wybitniejszych kapłanów. Do diecezji wrócił też ks. Kazimierz Żarnowiecki, który w gorzowskiej Kurii pełnił funkcję referenta do spraw duszpasterskich. Zaraz po wojnie założył w Szczecinie Instytut Liturgiczny, który oprócz wytwarzania przedmiotów liturgicznych opiekował się powojennymi sierotami i półsierotami i je zatrudniał. Niektórzy z tego grona zaznaczyli się

później jako wybitni kapłani, jak ks. infułat Kostynowicz, prałat Guzowski czy prałat Świątkowski. Ksiądz Kazimierz Żarnowiecki, powróciwszy do swojej dawnej diecezji, został proboszczem w Domachowie.

Rodzice, którzy mieli dosyć swoich kłopotów, zbytnio nie przejmowali się moją sytuacją, zresztą chyba przez cały okres mojego chodzenia do szkoły ani razu nie byli na żadnej wywiadówce. Każdy musiał sam dbać o swoje wykształcenie. I tym razem zacząłem na własną rękę szukać rozwiązania. Zatrudniłem się najpierw w Ekspozyturze Domu Książki w Zielonej Górze w charakterze instruktora. Moim obowiązkiem było jeździć po wszystkich księgarniach tamtejszego okręgu, pytać, jakie są potrzeby, przy okazji odwiedzać miejscowych sekretarzy partii i ich też pytać o to samo, a po powrocie zdawać sprawozdanie w dyrekcji. Całą pracę traktowałem jednak jako odskocznię do zdobycia matury. W Liceum im. Stefana Batorego w Szczecinie zgłosiłem chęć jej zdania w trybie eksternistycznym. Jako pracujący zostałem przyjęty i czekałem na ogłoszenie terminu. Po pół roku, w lutym 1951 roku, stawiłem się, by zakończyć swoją edukację. Muszę przyznać, że było mi wszystko jedno czy zdam, a zdawać musiałem ze wszystkich przedmiotów pisemnie i ustnie. Można było zdawać tylko część, a resztę pozostawić na następny termin i wielu tak zrobiło, m.in. mój kolega, który już rozpoczął studia medyczne. Zaraz po wojnie uczelnie na to pozwalały, pod warunkiem że w trakcie studiujący wszystko

uzupełnią. Tak więc postawiwszy wszystko na jedną kartę, wygrałem, straciłem jednak pół roku. Z maturą w kieszeni zastanawiałem się, co dalej, bo z pracą w Zielonej Górze od razu skończyłem. Kolega namawiał mnie, bym tak jak on zapisał się na medycynę, powróciłem jednak do Domachowa. Udałem się do proboszcza Żarnowieckiego i oświadczyłem mu, że mam zamiar wstąpić do seminarium. Prawdę mówiąc, przedtem nigdy o tym nie myślałem. Co prawda, mówiono mi, że w czasie chrztu chrzestna położyła mnie na ołtarzu z intencją ofiarowania mojego życia na służbę Bogu, ale puszczałem to mimo uszu.

SEMINARIUM

Widocznie tak Pan Bóg kierował moimi krokami, że trafiły one do bram Seminarium Duchownego w Poznaniu. Gdy pod krawatem znalazłem się na moście przed katedrą, zapytałem przechodzącego kapłana, gdzie ono. Ten najpierw zaczął zapinać marynarkę mojego jasnego ubrania, a następnie pokazał stojący niedaleko budynek. Okazało się, że drogę wskazywał mi ks. Aleksy Wietrzykowski, rektor seminarium. I tak zostałem przyjęty na pierwszy rok studiów, najpierw filozoficznych w Gnieźnie, a po dwóch latach teologicznych w Poznaniu. Motywem, który wówczas mną chyba najbardziej kierował, była chęć odtruwania dusz i umysłów ludzkich z obłądnej materialistycznej ideologii wtlaczonej w młodych ludzi. By tak mogło się stać, trzeba było samemu poddać się zabiegowi oczyszczenia przez Tego, który przyszedł, aby uwalniać człowieka od wszelkiego rodzaju zniewoleń. A to mogło się dokonywać jedynie na takiej uczelni, która



Katedra w Poznaniu

kształtowała i umysł, i serce. Uczyła patrzeć na świat i ludzi *sub specie aeternitatis*, tzn. z punktu widzenia wieczności.

Do seminarium wstępowałem w latach głębokiego okresu stalinowskiego. Po wakacjach pojechałem do Gniezna, pradawnej stolicy Polski. Ci, którzy już wcześniej tu przybyli, powitali mnie pytaniem: „Z jakiej jesteś parafii?”. Pyta-



Katedra w Gnieźnie

nie mnie raczej zaskoczyło, bo dotychczas utożsamiałem się nie z parafią, ale raczej z miejscowością. Okazało się, że byli to koledzy z Bydgoszczy, a ta miała różne parafie. Jednym z nowo poznanych był Kazimierz Śmigiel, obecny ks. profesor historii, z którym, jak się później dowiedziałem, miałem zamieszkać w jednym pokoju. Umeblowanie tych pokoi było więcej niż skromne: żelazne łóżka, szafki po chłopcach z Hitlerjugend, którzy w czasie wojny zajmowali ten budynek, stół, krzesła i stojący w kącie stolik z miską i dzbankiem na wodę.



Seminarium w Gnieźnie

Zgłosiło się nas wszystkich na pierwszy rok 115 z dwóch diecezji: gnieźnieńskiej i poznańskiej, był to jeden z najliczniejszych roczników.

W Gnieźnie przez dwa pierwsze lata studiowaliśmy filozofię. Najważniejsze przedmioty – logikę, metafizykę, kosmologię, teodyceę, historię filozofii – wykładał, bardzo solidnie i systematycznie, ks. profesor Dachtera. Rektor Pacyna miał socjologię, najwięcej mówił o Durkheimie i filozofii społecznej, z tego pisał doktorat. Psychologię i biologię wykładał „Se la wi” Ziętarski, nazwany tak, ponieważ często używał tego francuskiego wyrażenia. Profesor Boltz, bardzo sztywny i wymagający, uczył języków łacińskiego i greckiego. Była jeszcze historia sztuki, archeologia i sztuka dobrego zachowania

(*savoir-vivre*). Z profesorem historii na pierwszym roku wybraliśmy się do zniszczonej Warszawy. Wyglądała przerażająco, same ruiny, ale zachwycała zapachem odbudowujących.

Ważnym miejscem w seminarium jest zawsze kaplica, bo tu kształtują się serca i dusze przyszłych kapłanów. Uczestnictwo w liturgii Mszy św., modlitwa, spowiedź – to środki ułatwiające bezpośredni kontakt kleryków z Tym, którego mają w przyszłości być współpracownikami. Tym samym wielką rolę ma do spełnienia ojciec duchowny – jest tym, który ten kontakt ma ułatwiać, prostować błędy, rozwiązywać problemy sumienia. Był nim „papa” Szymański. Rola prefekta miała charakter raczej czysto porządkowy. Na posiłki schodziliśmy na parter do refektarza, a zaczynały się modlitwą, zwykle prowadzoną przez dziekana kursu, i codzienną przy stole lekturą. Funkcję dziekana za mojego pobytu pełnił Józef Glemp, późniejszy prymas. Do seminarium przychodzili też nasi ordynariusze: Walenty Dymek i stosunkowo jeszcze wówczas młody Stefan Wyszyński. Brali czasami udział w odgrywanym przez kleryków przedstawieniach. Ważny dla zdrowia był uprawiany przez niektórych sport i codzienne obowiązki przechadzki; pamiętam, że Glemp lubił rzucać młotem. Natomiast w każdą niedzielę szliśmy do katedry, aby przy relikwiach św. Wojciecha odśpiewać *Bogurodzicę*.

Co najmniej na rozpoczęcie Wielkiego Postu uczestniczyliśmy w rekolekcjach. Szczególnie jedne zapadły wszystkim w pamięć. Naszym przełożonym wydawało się, że jest



Relikwiarz św. Wojciecha w gnieźnieńskiej katedrze

nas na pierwszym roku za dużo, postanowili zrobić czystkę. Co prawda, niektórzy sami już wcześniej poodchodzili, spostrzegłszy, że to nie ich miejsce, innym poradzono, aby to zrobili z różnych względów. Był taki, który miał wybitne zdolności matematyczne, w innych dziedzinach był jednak intelektualnie ograniczony; inny wykazywał nieprzeciętne uzdolnienia muzyczne. Do wygłoszenia rekolekcji zaproszono redemptorystę o. Hołdę. Redemptoryści głoszą zasadę „przez bojaźń Bożą do zbawienia”. Stałym refrenem jego nauk, który zapamiętałem, było „odejdz od ołtarza”. Wielu więc zaczęło oglądać się na walizki, zwłaszcza co wrażliwsi, niektórzy zawędrowali nawet do Dziekanki. Bardziej odporani, może gruboskórni, m.in. i ja, pozostali. Niektórzy odeszli,

bo nie mogli pozdawać wszystkich egzaminów. Skutek był taki, że na drugim roku ze 115 zostało nas 76.

Ważnym miejscem dla mnie była seminaryjna biblioteka zawierająca kilkadziesiąt tysięcy tytułów. Tam poznałem pierwsze pisma Stefana Wyszyńskiego, który już przed wojną przewidywał idące ze Wschodu niebezpieczeństwo, to, czego później doświadczał nasz naród przez cały okres powojenny. Doznał tego osobiście nie tylko w więzieniu, ale i później, walcząc z komunistycznymi władzami o prawa Kościoła i Polaków. W seminaryjnej bibliotece przeczytałem też *Psychologię marzenia sennego* Freuda, prace Adlera, Junga itp.

Zdarzały się również komiczne wypadki, jak np. wojna na pączki, które, usmażone na nie wiadomo jakim tłuszczu, były tak twarde, że nie można było ich ugryźć. Czasami mieszkający na wyższych piętrach dla żartu wylewali na głowę przechodzącego kleryka wodę z miski. Kiedyś przechodził tamtędy ks. infułat Bross, który po aresztowaniu prymasa pełnił jako wikariusz kapitulny funkcję ordynariusza. Jemu to właśnie wylano na głowę niespodziewanie miskę zimnej wody. Wywołało to cały szereg dochodzeń, aż dotarto do sprawcy całego zamieszania – Kazia Śmigła z mego pokoju. Zrobił to oczywiście przez pomyłkę, ale dzięki temu stał się oczkiem w głowie księdza infułata.

Kiedy nastał czas egzaminów dało się odczuć wzmożoną aktywność intelektualną kleryków. Egzaminatorzy, by lepiej poznać delikwenta, chwyтали się różnych sposobów



Profesorowie i klerycy przed gmachem gnieźnieńskiego seminarium

sprawdzania wiadomości, np. ks. rektor Pacyna zadawał pytanie i, zamknąwszy oczy, czekał. Kleryk mówił, a kiedy już mu się temat wyczerpał, myśląc, że odpytujący chyba śpi, zaczynał wszystko od nowa. Nie wiedział biedak, że przez ten psychologiczny chwyt egzaminator poznawał nie tylko wiedzę, ale i uczciwość nieuczestnika. Po jego wyjściu pytano: „No i jak ci poszło?„. „Wspaniale. Odpowiadałem w kółko to samo, bo on spał”. I tak nie każde zamknięte oczy są ślepe i niewidzące, mogą więcej dojrzeć niżbyś się spodziewał. Po okresie egzaminów przyszedł czas na odpoczynek.

Po raz pierwszy udałem się na wakacje w Tatry razem z kolegą zamieszkałym w Bydgoszczy, Bolesławem Dalaszyńskim. Zamieszkaliśmy w Kościelisku u góralki, której syn był misjonarzem w Brazylii. Do kościoła chodziliśmy w Koś-

cielisku, jego proboszcz był dawnym więźniem Oświęcimia. Swoje przeżycia opisał w książce *Pajda chleba*, a widomym znakiem tegoż w kościele był wizerunek Chrystusa w więziennym pasiaku, namalowany na deskach z podłogi baraku, w którym więźniowie spali. Sam artysta nie przeżył, a obraz ocalał dzięki współwięźniowi, proboszczowi z Kościeliska. Kapłanów więziono nie tylko w obozie w Dachau, ale także w innych, m.in. w Oświęcimiu, który z zamierzenia miał być dla Polaków. Kiedy od 1942 roku rozpoczęto na masową skalę zwozić Żydów, stał się głównym miejscem ich kaźni.

My przybyliśmy do Kościeliska przede wszystkim dla wysokich gór, które cierpliwie czekały na nas, wabiąc swym ogromem i nigdzie nie spotykanym pięknem. Mój towarzysz wyprawy był już nieco z nimi obznajomiony, więc podążałem tylko jego śladem. Wybraliśmy się najpierw do Doliny Kościeliskiej, która zapierała dech swoim zapachem, szumem przepływającego strumienia i z dwóch stron wznoszącymi się szczytami gór. Przeszliśmy całą dolinę, a potem nieoznaczonym szlakiem, wbrew wszelkim przepisom, zaczęliśmy iść wyschniętym o tej porze roku korytem strumienia, przechodzącym w nagie skały, ku wznoszącym się ponad głowami Tylkowym Kominom. Gdy tam dotarliśmy, widok był niezapomniany, z jednej strony Dolina Kościeliska, z drugiej Chochołowska i wszędzie, jak okiem sięgnąć, wysokie szczyty Tatr. Okazało się potem, że zejście było trudniejsze od wejścia, ale wrażenie, z którym schodziłem do doliny, było



Wyprawa w góry

warte takiego trudu. Każdy następny dzień przynosił inne wrażenia, jak wyprawa z Doliny Kościeliskiej przez Czerwone Wierchy na Kasprowy Wierch, a potem do Doliny Pięciu Stawów czy później do Morskiego Oka i w ciszę Czarnego Stawu, by następnie iść Orlą Percią, zachwycać się Granatami i Kozim Wierchem. Całe Tatry są urocze; wówczas, w 1952 roku, nie tak zdeptane i zaśmiecone jak obecnie. Po polskiej stronie bardziej naturalne, dzikie niż po czeskiej czy słowackiej – bardziej ucywilizowanej, z ułożonymi ścieżkami.

Po powrocie do rodzinnego Domachowa znalazłem się w innej rzeczywistości. Była to rzeczywistość walki o przetrwanie, o utrzymanie się na powierzchni, z której system



W Dolinie Pięciu Stawów

totalitarny usiłował zepchnąć rolników indywidualnych w zbiorowisko życia kolektywnego. Pojęcie gospodarza, czyli pana gospodarującego na kawałku swojej ziemi w sposób niezależny, miało zaniknąć. Ojciec, tak jak i cała moja rodzina, nie pasował do tego systemu. Jeśli nie dawał się zniszczyć podatkami i narzucanymi kontyngentami, trzeba było wymyślać takie sposoby, które mogłyby to przyspieszyć. Stąd aresztowania w czasie wzmożonych prac polowych i przetrzymywanie bez sądu i wyroku. Ciekawe, że ludzie w takich sytuacjach przychodzili z pomocą. Kiedy moja siostra uczęszczała do Szkoły Gastronomicznej w Lesznie, jakaś koleżanka powiadomiła ją, że ojciec jest w więzieniu, i w związku z tym ma ona pojechać do Bojanowa powiadomić o tym naszego brata

Michała, który wówczas uczęszczał do Technikum Rolniczego. Pojechała więc, nie wiedząc, gdzie brat mieszka i gdzie ma go szukać. Bezradnie stanęła przy jakimś budynku, gdy nagle usłyszała jego głos. Okazało się, że rozmawiał ze swoim kuzynem, który tam właśnie wynajmował mieszkanie. Nawet z Góry przyszła pomoc. Oczywiście natychmiast brat poprosił o zwolnienie, by zastąpić aresztowanego.

Powrót do seminarium przeniósł mnie znowu w inny świat. Ze świata walki przeniosłem się w świat rozwoju, poszerzania horyzontów myślenia, a także wzrostu duchowego. Historia myślenia filozoficznego od czasów greckich to równocześnie szukanie przez człowieka odpowiedzi na najważniejsze nurtujące go pytania, dotyczące istnienia, bytu, czy to materialnego, czy duchowego, to sięganie ludzkim rozumem do poznania Bytu Nieskończonego, źródła istnienia wszystkich innych bytów. Jakie w tym wszystkim jest moje miejsce, po co żyję na tym świecie? I tak dopiero w seminarium zaczęło dojrzewać moje człowieczeństwo i moje powołanie. Tu uczyłem się myślenia, tu też uczyłem się panowania nad emocjami.

Po drugim roku studiowania filozofii przyszedł czas na rozstanie z Gniezmem, a także z kolegami z diecezji gnieźnieńskiej. Nastąpił rozdział na Poznań i Gniezno. Dla naszego rocznika oznaczało to czas na studium teologii. Przyszła pora na takie przedmioty, jak: teologia dogmatyczna, moralna, pastoralna, historia Kościoła, prawo kanoniczne, egzegeza

Starego i Nowego Testamentu, liturgika itp. Rektorem seminarium był, choć wzrostu małego, ale wszędobylski, Aleksy Wietrzykowski. Wojnę przeżył we Francji jako kapelan prymasa Augusta Hlonda. Często opowiadał o Francji, której Kościół był dla niego wzorem, a ponieważ wykładał teologię pastoralną często powoływał się na przykłady działalności duszpasterskiej księży francuskich. Jego prawą ręką był Franciszek Dziasek, który, wykładając teologię fundamentalną, posługiwał się wykresami. Wielkim autorytetem cieszył się też wykładowca teologii moralnej ks. prof. Zygmunt Baranowski – przez kleryków nazywany „Barankiem” nie tyle ze względu na nazwisko, ile na łagodny charakter.

Wykłady z egzegezy Nowego Testamentu prowadził posługujący się piękną polszczyzną ks. prof. Marian Wolniewicz, dość liberalny w poglądach. Natomiast typem naukowca był profesor egzegezy Starego Testamentu Michał Peter, prowadzący swoje wykłady z nieodłącznym ołówkiem. Profesor historii Józef Nowacki, zwany „laikiem”, to kopalnia, bardzo szczegółowej wiedzy. Od niego na jednym z wykładów dowiedziałem się, że w średniowieczu istnieli jacyś Sierpowscy. Ksiądz Władysław Pawelczak usiłował nas zapoznać z prawem kanonicznym. Infulat Nikodem Mędlewski uczył homiletyki, czyli głoszenia kazań, w dość tradycyjny sposób. Był jeszcze ks. prof. Hain od historii sztuki kościelnej czy prześmiewca infulat Gerard Mizgalski uczący śpiewu liturgicznego. Dużą wiedzą odznaczał się ks. prof. Marian

Kowalewski, który wprowadzał nas w tajniki filozofii i teologii. Marian Finke wykładał katechetykę – często roztargniony, patrzył na nas mądrym i nieco kpiącym wzrokiem. Bardzo spokojny i uduchowiony ojciec duchowny ks. Czesław Pawlaczyk czuwał nad naszym rozwojem duchowym.

Seminarium to uczelnia niezwykła, bo nie tylko przekazuje wiedzę, ale kształtuje osobowość tych, którzy mają być powołani, by przekazywać Dobrą Nowinę o zbawieniu współczesnemu człowiekowi. Muszą więc być oni ukształtowani na wzór Tego, który przyszedł, aby ją głosić. Przez cztery lata usiłowaliśmy to Orędzie objawione człowiekowi przez Boga zgłębiać, przygotowani uprzednio przez dwa lata studiów filozoficznych, ukazujących, co myślą o Bogu, świecie i człowieku największe umysły ludzkie. Wiedza teologiczna tym różni się od wiedzy filozoficznej, że pije ze źródła płynącego bezpośrednio od Boga. Nic więc dziwnego, że studenci teologii winni ją studiować, jak powiedział św. Tomasz z Akwinu, na klęczkach. Pomocą dla każdego z nas była codzienna Msza św., częste rekolekcje, przystępowanie do sakramentu pokuty i Komunii św. Muszę przyznać, że dopiero w seminarium moje powołanie tak naprawdę zaczęło się kształtować, zacząłem dojrzywać do kapłaństwa, a równocześnie zaczęła się formować i dojrzywać moja osobowość.

Tak naprawdę rozwój osobowy każdego z nas będzie przebiegał dość nierównomiernie przez całe życie. Ważne są jednak te początki w seminarium. Na pewno duży wpływ

na to miała nie tylko sama teologiczna wiedza, ale i osobowość naszych profesorów i sposób, w jaki nam tę wiedzę podawali. Myślę, że każdy z profesorów, zapewne nieświadomie – poprzez swą osobowość, zachowanie, przykład, przekonanie i autentyczność – wpływał na każdego inaczej, zostawiając swoją część w naszej świadomości i w naszym charakterze. Tak się składało, że mury seminarium, oddzielające od świata zewnętrznego, pozwalały spokojnie każdemu z nas rozwijać się tak pod względem intelektualnym, jak i duchowym.

Tymczasem na zewnątrz, w każdej szkole podstawowej, średniej, jak i wyższej toczyła się walka światopoglądowa. Obejmowała ona nie tylko dzieci i młodzież, ale także dorosłych w ich miejscach pracy. Wszyscy mieli być podporządkowani jednej ideologii: marksistowsko-leninowskiej. Pojmowanie świata ograniczało się do doczesności. Obowiązującym światopoglądem był materializm. Wszyscy powinni tak myśleć, jak tego uczyli przywódcy partyjni.

Mimo szyszan, jakie stosowały władze wobec moich rodziców, chcąc ich ujarzmić, na wakacje do swego rodzinnego domu zabierałem kolegów mieszkających w miastach. Był więc u nas w miesiącach letnich Marian Roszyk, późniejszy proboszcz i kanonik śremski. W następnym roku przebywał na wakacjach Zbigniew Stępczyński, późniejszy kanonik i proboszcz w Żabnie. Poznali przez to trochę życie i pracę na polskiej wsi.

Ksiądz kanonik Zbigniew Stępczyński, jako proboszcz w Żabnie, założył Uniwersytet Ludowy, którego celem było podnoszenie kwalifikacji intelektualnych i zawodowych mieszkańców wsi. Z takich szkół wychodzili nawet wielcy przywódcy. Najpierw powstawały z inspiracji kościelnej, by rolnik łatwiej mógł sobie radzić w walce z tzw. kulturkampfem, a w końcu z komunizmem. Taki uniwersytet w Dalkach pod Gnieznem ukończył przed wojną Stanisław Mikołajczyk, późniejszy premier rządu polskiego na obczyźnie, a po wojnie wicepremier tzw. rządu jedności narodowej. Szybko się jednak zorientował, że nie ma on nic wspólnego z nazwą i że podlega dyspozycjom płynącym z Moskwy. Skończyło się tym, że, by ratować twarz i życie, Mikołajczyk uciekł z Polski za granicę.

Wraz ze Zbigniewem Stępczyńskim zabrał się zamieszkały w Poznaniu Michał Tschuschke, którego w gościnę przyjął ks. proboszcz Kazimierz Żarnowiecki. Ksiądz proboszcz był człowiekiem światłym, czytany, znającym się na rzemiośle, sztuce, ogrodnictwie, a przy tym bardzo elokwentnym. Potrafił na temat kropli wody powiedzieć całe kazanie, a mówił na każdej Mszy św. zawsze inne, głosząc homilie również na mszach codziennych, choćby dla dwóch babek. Na naukach stanowych dla młodzieży, zresztą zawsze licznie zebranej, mówił o zwykłych rzeczach, np. jak potrzebna jest chusteczka. Otóż miał zainteresowania liturgiczne, które przejął od odnowiciela ruchu liturgicznego ks. Parscha.

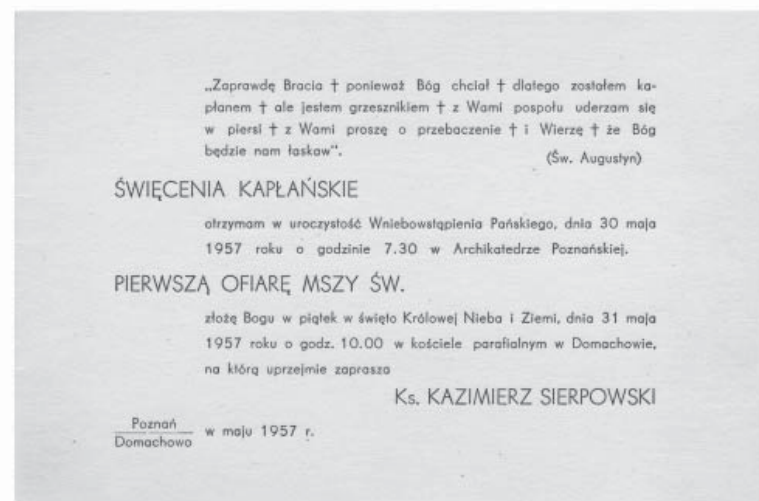
W rozmowach z nami często poruszane były te tematy. Potrafił zaszczepić w nas zainteresowanie nie tyle rubrycystką czy nawet liturgiką, ale samą liturgią przez duże „L”. Miał i swoje wady – uważał się za człowieka Kościoła, nie czuł się więc związany zbyt mocno z rodziną, narodem; nawet za ciasny dla niego był Kościół partykularny, parafia, diecezja. Uważał, że tam, gdzie są ludzie, tam też dla niego jest misja głoszenia Bożego Słowa. Niestety, taka postawa nie wyszła mu na dobre. Natomiast dla Michała zainteresowania liturgiczne zakończyły się profesurą z tej dziedziny.

W kraju tymczasem toczyły się coraz częstsze procesy ludzi myślących po polsku, a w czasie wojny walczących o niepodległość. Polską rządili najemnicy, często niepolskiego pochodzenia, którym nie zależało na dobru Polaków, ale na ich zniewoleniu. Oczywiście główną przeszkodą na tej drodze był Kościół rzymskokatolicki, stąd aresztowania księży biskupów, próby rozbicia jedności. Seminarium nieco chroniło nas od tej walki, chociaż nie wszystkich, bo wielu wciągniętych do wojska usiłowano złamać psychicznie i moralnie. Wreszcie nadszedł moment buntu z całkiem dla komunistów niespodziewanej strony, bo ze strony robotników. Czerwiec 1956 roku przeżywaliśmy w seminarium otoczonym czołgami, nasłuchując odgłosów strzałów dochodzących z miasta. Polała się krew, zginęło wielu ludzi; żołnierzy, którzy nie chcieli strzelać do swoich, rozstrzelano. Walka bezbronnej z uzbrojonymi nie mogła zakończyć się zwycięsko.

Tymczasem obok, w pałacu arcybiskupim, umierał ks. arcybiskup Walenty Dymek. W Poznaniu nastąpił wakat. Mieliśmy jeszcze rok do wyznaczonych święceń. Święcenia kapłańskie otwierały drogę do pracy duszpasterskiej. Otrzymaliśmy je z rąk ks. biskupa Franciszka Jedwabskiego 30 maja 1957 roku.

Nastąpił czas oczekiwania nie tylko z mojej strony jako nowo wyświęconego kapłana, ale całego narodu. Z więzienia wyszedł kardynał Stefan Wyszyński, a od roku pierwszym sekretarzem rządzącej partii był Władysław Gomułka. Nic więc dziwnego, że ludzie pełni nadziei na większe zmiany mówili: „Wszystko kręci się w kółko za Wyszyńskim i Gomułką”. Z więzienia we Wronkach wyszedł także dawny kapelan kardynała Antoni Baraniak, który został mianowany arcybiskupem poznańskim. Zanim jednak otrzymał święcenia biskupie, trwał prawie roczny wakat, stąd święcenia nasze otrzymywaliśmy z rąk sufragana, a nie ordynariusza. Tak więc z rękami świeżo namaszczone, pełen Bożego Ducha, powróciłem do swej macierzystej parafii, do Domachowa. Święcenia otrzymaliśmy w święto Wniebowstąpienia Pańskiego, w czwartek, a już na drugi dzień, w piątek 31 maja, w uroczystość Matki Bożej Królowej Nieba i Ziemi miałem prymicje.

Przed rozpoczęciem Mszy św., ku memu zaskoczeniu, a także, myślę, zaskoczeniu mojej rodziny, proboszcz kazał



Zaproszenie na święcenia kapłańskie

mi usiąść w konfesjonale. Penitenci nie mieli wyboru, ponieważ byłem jedynym spowiednikiem. Tak się więc złożyło, że pierwszych rozgrzeszeń udzielałem swoim najbliższym z rodziny. Przejęty i stremowany i tak nie wiedziałem, kto się spowiada, skoncentrowany jedynie na tym, by udzielać jak najmądrzejszych pouczeń. Do zakrystii wróciłem spociny, by zaraz ubrać się w kapłańskie szaty i pójść do ołtarza odprawić swoją pierwszą Mszę św. Kazanie prymicyjne głosił pochodzący z tej samej parafii ks. Władysław Nater, należący do Kongregacji Księżych Filipinów. Funkcję diakona sprawował Andrzej Sparty, późniejszy profesor filozofii. Od



Po Mszy św. prymicyjnej – Domachowo, 31 maja 1957 roku

parafian, z inspiracji ks. proboszcza Kazimierza Żarnowieckiego, otrzymałem witrażyk z Matką Boską Częstochowską i piękną replikę rzeźby Michała Anioła przedstawiającej Mojżesza.

Na przyjęciu prymicyjnym miałem szczęście gościć jeszcze babcię, choć już chorowała, natomiast dziadek nie doczekał święceń – wspierali mnie oni w czasie studiów swoją modlitwą. Byli także moi kochani rodzice, chrzestni, rodzeństwo, w tym siostra ze szwagrem Stefanem i dwiema córkami.

Za miesiąc siostra urodziła chłopców bliźniaków, którzy dziś, po studiach medycznych, służą Kościołowi w zakonie



Po prymicjach – z rodzicami

dominikańskim. Nie wymieniam całej rodziny, bo jest zbyt liczna. Przyjaciół rodziny, ks. Władysław Nater, jak zawsze wnosił dużo radości. Tak więc poprzez święcenia kapłańskie zostałem tak jak apostołowie powołany przez Kościół do

pracy apostołskiej. Na prymicyjnym obrazku kazałem umieścić słowa wypowiedane przez kapłana na zakończenie modlitwy eucharystycznej. Po łacinie brzmiały one: „Per Ipsum, et cum Ipso, et in Ipso”, a ja napisałem po polsku: „Przez Niego, z Nim i w Nim” i chciałem, aby te słowa były prawdą mojego kapłańskiego życia.



Grafika Antoniego Gołębniaka zamieszczona na zaproszeniach na prymicje

WIKARIATY

Porowanie do pracy w wyznaczonej przez władzę duchowną parafii. Mnie skierowano najpierw na zastępstwo proboszcza, który udawał się na wakacje. Pierwszą parafią, w której miałem pełnić funkcję p.o. nieobecnego proboszcza, była parafia pw. Matki Bożej Śnieżnej w Pawłowicach. Była to stara parafia, bo powstała prawdopodobnie już w XII wieku; kościół w stylu barokowym i wielokrotnie przebudowywany.

Wieś Pawłowice, położona niedaleko Leszna, mogła poszczycić się pięknym pałacem, na szczęście przez komunistów nie zniszczonym. Zastępowałem tam przez miesiąc, w lipcu 1957 roku, proboszcza Łaszewskiego, równocześnie ucząc się odpowiedzialności za przeszło dwutysięczną społeczność. Codziennie odprawiałem Mszę św., w niedzielę głosiłem kazania, udzielałem też sakramentów: pokuty, chrztu, małżeństwa, namaszczenia chorych; odprowadzałem na cmentarz



Kościół pw. Matki Bożej Snieżnej w Pawłowicach

zmarłych. Była to, jak na nowo wyświęconego kapłana, praca dość angażująca.

Podobną duszpasterską pracę przyszło mi pełnić w sierpniu; tym razem zastępowałem proboszcza Hełkę w Turkowich koło Kępna. Wieś ta leżała na pograniczu Wielkopolski i Śląska; przez Niemców została włączona do tego ostatniego, dlatego też wszyscy jej mieszkańcy automa-



Kościół pw. Wniebowzięcia NMP w Piłce

tycznie wciągnięci zostali na listę folksdojczów. Było to dla nich podwójną tragedią, bo po wojnie, uznani za Niemców, zostali pozbawieni swojej własności. Na ich gospodarstwa kierowano przesiedlonych ze Wschodu, tak że w czasie mojego tam pobytu w jednym gospodarstwie przebywały dwie rodziny: autochtoniczna i repatriacyjna.

Po tej dwumiesięcznej praktyce zostałem powołany na wikariusza parafii pw. Wniebowzięcia NMP w Piłce. Nastąpiło to po konflikcie tamtejszego proboszcza z wikariuszem, który usiłował utworzyć samodzielną placówkę z części parafii w Pęcckowie. Na stanowisko proboszcza został nowo mianowany ks. Florian Liebner. Była to ciekawa parafia,



Droga przez puszcę

terytorialnie bardzo rozległa, obejmowała większą część Puszczy Nadnoteckiej. Centrum stanowiła Piłka, do niej należały porozrzucane po puszczy wioski, jak: Miały, Marylin, Kwiejce, Kamiennik, Zieleniec, Pęckowo.

Po przybyciu do Piłki młody jeszcze proboszcz skierował mnie do wikarówki. Był to domek zbudowany przed wojną, a przeznaczony dla pracujących w parafii wikariuszy. Okazało się jednak, że jest zajęty przez rodzinę organisty; pozostał jedynie mały pokój na strychu. Mieszkałem w nim przez dwa lata, bo przecież przyjechałem nie dla własnej wygody, ale do pracy, przyzwyczajony do życia w różnych warunkach. Ani mi w głowie było walczyć o większe i wy-



W drodze do szkoły

godniejsze mieszkanie. Najważniejszym zajęciem miało być nauczanie religii w szkołach, do których miałem dojeżdżać na rowerze. Propozycja ta nie przypadła mi do gustu, zresztą gdybym nawet jeździł z szybkością Szurkowskiego, trudno by było obsłużyć porozrzucane po wioskach szkoły. Postarałem się więc o motocykl SHL, który sprzedał mi wikariusz z Pępowa.

Tym chętniej to uczynił, że uległ wypadkowi i na motocykl nie chciał już wsiadać. Z rozpoczęciem roku szkolnego nastąpił podział zajęć, ksiądz proboszcz zostawił sobie szkoły w Piłce i Pęcckowie, mnie przypadły dwie szkoły ośmioklasowe w Zieleńcu i w Miałach oraz czteroklasowe w Kamienniku, Kwiejcach i w Marylinie, w sumie 40 godzin katechizacji tygodniowo.

Najtrudniej było w pierwszy piątek, kiedy trzeba było jechać najpierw 10 kilometrów do Miałów, by tam rano odprawić Mszę św., a następnie 20 kilometrów na drugi koniec, by zdążyć na rozpoczęcie lekcji w Zieleńcu, nie licząc drogi powrotnej. Trzeba zaznaczyć, że w 1956 roku religia powróciła do szkół, ale już w 1960 roku znowu ją z nich usunięto.

Mimo wszystko w parafii puszczańskiej czułem się dobrze, kochałem przyrodę, otaczający ze wszystkich stron las, który nie był wówczas jeszcze zbyt wysoki. Stary las został w 1929 roku zniszczony przez gąsienice i posadzono nowy. Rósł on na bardzo słabej, najczęściej wydumowej glebie. Były też oazy starodrzewia, a w nich oczka wodne. Miejscowa ludność żyła nie tyle z uprawy ziemi, co ze zbieractwa runa leśnego: grzybów, jagód, borówek. Z puszczy dochodziły głosy nie tylko ptaków, ale i grubszego zwierza. Raz w towarzystwie leśniczego wybraliśmy się w nocy na rykowisko. Ciarki przechodziły po plecach, kiedy słychać było z bliska ryki byków.

Po roku jeżdżenia na SHL-ce wsiadłem na większy i bardziej reprezentacyjny motocykl, który dopiero co ukazał się w sprzedaży, na węgierską Panonię. Tym samym mój prestiż w oczach dzieci i młodzieży, którą uczyłem, nieco się poprawił. Zakup kosztował mnie jednak dużo cierpliwości, bo pojazd kupiłem na raty i trzeba było co miesiąc biec na pocztę i kolejną ratę spłacić. Przyrzekłem sobie, że już nigdy w życiu niczego nie kupię na raty.

Moje wędrowanie na siodełku motocykla o każdej porze roku było bardzo urozmaicone. Wiosną zachwycała wracająca do życia przyroda. Latem, w okresie wakacyjnym, można było zatrzymywać się na dłuższe postoje i kontemplować tętniący życiem puszczański świat. Jesienią puszcza obdarzała zamieszkujących ostępy leśne ludzi darem swoich owoców. Najgorzej było zimą, zwłaszcza kiedy przyszły gołoledzie. Motocykl często odmawiał posłuszeństwa, bo zmieniał kierunek jazdy; zamiast do przodu odwracał się do tyłu albo tracił równowagę i kładł się na ziemi, tak że mimo mroźnego powietrza byłem czasami spocony. Ponieważ kazałem sobie uszyć spodnie z kozucha, więc lądowanie było miękkie. Najgorzej z głową, nie wynaleziono jeszcze kasków, miałem tylko pilotkę. Zemściło się to ropnym zapaleniem zatok czołowych. Nie obyło się bez interwencji starego profesora laryngologii dr. Zakrzewskiego, do którego zresztą też na motocyklu musiałem się kilkakrotnie udać, aby po zabiegach

rtzw. punkcji mógł mi je przepłukiwać pojawiającą się już na rynku penicyliną.

Interwencje były skuteczne, tym bardziej że profesor zapisał także zastrzyki z penicyliny, które dawała bardzo kochana siostra Stefania. Co prawda, raz przy dawaniu zastrzyku igła znikła i narobiła trochę strachu, bo siostra myślała, że utopiła się gdzieś w moim ciele, ale okazało się, że cofnęła się do strzykawki. Prócz zastrzyków profesor zalecił nagrzewanie ciepłym piaskiem, który, umieszczony w jakiejś skarpetce, podgrzewałem we framudze pieca, a potem przykładałem do czoła. Kuracja była tak skuteczna, że już później żadne dolegliwości tego typu się nie powtórzyły.

Innym razem, jadąc leśną ścieżką, zauważyłem w ostatniej chwili podcięte drzewko sosnowe leżące w poprzek ścieżki. Położyłem się na kierownicy i jakoś uniknąłem wypadku. Znalazł się złośliwiec, który wyraźnie chciał go spowodować, tylko nie wiem, czy tą ofiarą miałem być ja czy też ktoś inny. W pracy duszpasterskiej w parafii pomagały siostry ze Zgromadzenia Sióstr Rodziny Maryi. U nich też się stołowałem.

W 1958 roku przybywały do Polski ostatnie transporty przesiedleńców ze Wschodu. Jedna z grup na jakiś czas zatrzymała się w budynku szkolnym w Miłach, dopóki nie umieszczono ich na stałe gdzieś na Ziemiach Zachodnich.

Po dwóch latach pracy w puszczańskiej parafii pw. Wniebowzięcia NMP zaproponowano mi przeniesienie. Pobyty w Piłce, mimo trudności, wspominam bardzo dobrze.



Prymicje ks. Zbigniewa Grussa w kościele pw. Wniebowzięcia NMP w Piłce

Praca z księdzem proboszczem układała się jak najlepiej, bo mieliśmy do siebie pełne zaufanie. Jeden u drugiego się spowiadał, nigdy też nie było pomiędzy nami jakichś spięć dotyczących wynagrodzenia. Honorarium z intencji mszalnych było w rękach księdza proboszcza i nie pamiętam, bym kiedykolwiek liczył to, co otrzymałem. Pod koniec mego pobytu wydarzeniem w parafii były prymicje ks. Zbigniewa Grussa. Jego ojciec był leśniczym; ich dom zagubiony w lesie, zawsze bardzo gościnny, otwierał swoje podwoje dla każdego. Dziś to miejsce zwane Smolarnią pokrywają dziko rosnące krzewy i drzewa.



Ostrowie Wlkp. – wolno stojąca wieża kościoła pw. św. Antoniego

Ze Zbyskiem przyjdzie mi jeszcze nie raz skrzyżować drogi mojego kapłańskiego życia.

W lipcu 1959 roku znalazłem się w Ostrowie Wlkp. Miasto piękne, z tradycjami, konkurujące z Kaliszem, podzielone wówczas na trzy parafie: farną, Królowej Polski



W Ostrowie Wlkp.

i św. Antoniego. Do tej ostatniej zostałem skierowany. Jak wówczas mówiono, była to „parafia kolejarzy”.

Budowę kościoła rozpoczęto już przed wojną, ale zakończono po wojnie. Przy kościele stał piętrowy, niewielki budynek – całe piętro służyło w połowie proboszczowi, ks. dziekanowi Dymarskiemu, a w drugiej połowie znajdowały się pomieszczenia biurowe. Parter zajmowała rodzina kościelnego oraz mieszkało trzech wikariuszy. W szczycie parteru mieściły się dwa małe pokoiki, w tym jeden przechodni, który przypadł w udziale mojej osobie, bo w drugim już wcześniej zamieszkiwał mój współlokator, ks. Kazimierz Maćkowiak. Na posiłki i do sanitariatów chodziliśmy do środkowego mieszkania, nieco większego, zajmowanego przez ks. Jerzego Mizerskiego.

Na pozór praca wikariusza w mieście nie różniła się od tej wykonywanej w nadnoteckiej puszczy. Ta sama codzienna Eucharystia, katechizacja dzieci i młodzieży w szkołach, słuchanie spowiedzi, zwłaszcza przed pierwszym piątkiem miesiąca. Coś jednak się zmieniło, zmieniło się otoczenie. Z pracy w ciągłym ruchu teraz praca w jednej, najwyżej dwóch szkołach, odprawianie Mszy św. zawsze w tym samym kościele, masowy udział w nabożeństwach, długie kolejki dzieci i młodzieży przy konfesjonalach.

Żartowaliśmy czasami, że ksiądz proboszcz ma tę przewagę nad nami, że umie słuchać jednocześnie dwóch penitentów. Więcej też było napięcia nerwowego i psychicznego. W ramach dodatkowych zajęć uczestniczyłem w próbach parafialnego chóru. Za mojego pobytu, na wysokiej, wolno stojącej wieży zawieszono nowo odlane dzwony. Gdy dzwoniły, wieża się odchyłała, napędzając nam i księdzu proboszczowi trochę strachu, ale przywołany architekt stwierdził, że wszystko w porządku, że tak musi być i właśnie to stanowi dla niego powód do dumy. Tutaj też od swoich krewniaków dostałem w prezencie klęcznik – towarzyszył mi później przez wszystkie wikariaty, by wreszcie znaleźć się w kościele w Gołębiniu, gdzie, mam nadzieję, służy do dnia dzisiejszego.

Muszę jeszcze wspomnieć, że w Ostrowie spotkałem dawnego prefekta, do którego usunięcia z liceum w Krotoszynie przyczyniła się zetempowska młodzież; widocznie był za dobry, zbyt łagodny. Tutaj pełnił funkcję proboszcza nowo



Kościół farny w Wolsztynie pw. Niepokalanego Poczęcia NMP

utworzonej parafii Królowej Polski. Mimo dobrej współpracy z kolegami nie czułem się w Ostrowie zbyt dobrze. Na szczęście po roku pobytu nastąpiła zamiana. Na moje miejsce przyszedł ks. Bolesław Exler, a ja zostałem przeniesiony na jego miejsce do Wolsztyna.

Po przeniesieniu się na nową placówkę znowu doświadczyłem trudności lokalowych. Zamieszkałem w końcu na plebanii, w dość ładnym pokoju, za pomieszczeniem biurowym, zresztą po roku zwolniło się miejsce w wikarówce, dokąd się przeprowadziłem. Podobnie jak w poprzedniej parafii pracowało w niej trzech wikariuszy, początkowo oprócz mnie do tego składu przynależał ks. Marian Roszyk, kolega kursowy,



Kościół filialny w Wolsztynie

i ks. Zbigniew Teinert. Proboszczem był ks. kanonik Stanisław Michalak. Atmosfera i współpraca z kolegami układała się bardzo dobrze. Po odejściu ks. Mariana do Poznania na jego miejsce pojawił się ks. Mieczysław Radziejewski.

Miejscową tradycją było, że wszyscy księża stołowali się na plebanii. Dzięki temu różne sprawy można było omawiać na bieżąco z księdzem dziekanem przy stole. Parafia z dużymi tradycjami życia religijnego, skonsolidowana. Życie religijne koncentrowało się wokół kościoła pw. Niepokalanego



Autor z katechizowanymi

Poczęcia NMP. Natomiast katechizacja po usunięciu religii ze szkół odbywała się przy kościele filialnym, ponieważ tam, z braku salek, mogliśmy uczyć w wieży kościelnej na trzech czy czterech jej piętrach. Młodzież co godzinę zbierała się za kościołem, skąd wprowadzaliśmy ją, każdy do swojego pomieszczenia.

Małe seminarium, które było w Wolsztynie, zostało rozwiązane. Młodzież rozproszyła się po całej diecezji, a nawet Polsce; paru chłopców, m.in. Stelmach, Zaklika, chodziło do miejscowego liceum, stąd i na katechizację.

Przed każdym pierwszym piątkiem miesiąca do pomocy w słuchaniu spowiedzi przyjeżdżał ksiądz ze Zgromadzenia Oblatów z niedaleko położonej Obry.



Odpooczynek na jeziorze

Wolsztyn – miasto usytuowane między dwoma jeziorami – był i jest atrakcyjny turystycznie. Jedno z jezior niestety bardzo zanieczyszczono ściekami komunalnymi, za to po drugim pływało pełno łodzi, żaglówek i motorówek. Żał było, aby księża w wolnych chwilach nie mogli korzystać z jego uroków. Postarałem się więc za zgodą księdza dziekana o wykonanie nowej łodzi, która była tylko do naszej dyspozycji. Przymocowana do nadbrzeża u zaprzyjaźnionej z nami rodziny czekała na chętnych. Okazało się, że najczęściej byłem nim ja. Lubiłem w niedzielne popołudnia wypływać na jezioro jak najdalej, najlepiej w zacisze szuwarów i, wsłuchując się w odgłosy życia, czytać zabraną lekturę. Dla mnie było to dużym odprężeniem po całotygodniowej pracy, zwłaszcza

po lekcjach prowadzonych w pomieszczeniach bez okien, przy sztucznym świetle.

Również niedzielne przedpołudnia z prawie cogodzinnym odprawianiem Mszy św., wygłaszaniem kazań, słuchaniem spowiedzi nie były wypoczynkiem. Czasem reakcje słuchaczy zaskakiwały mnie. Pamiętam, jak kiedyś wygłaszałem kazanie na temat pijaństwa. W trakcie tej homilii zauważyłem pod chórem mężczyznę, który wsłuchiwał się, stojąc na nieco rozstawionych nogach. Jakież było moje zaskoczenie, gdy po obiedzie zawezwano mnie z olejami do chorego. Okazało się, że był już martwy, ale zdziwienie moje było jeszcze większe, gdy w leżącym rozpoznałem słuchacza mojego kazania z kościoła. Po mszy udał się do szynku i zapił się na śmierć.

Po Wolsztynie przyszła kolej na Oborniki, również parafię obejmującą całe miasto i kilka podmiejskich wiosek. Tutaj proboszczem był ks. kanonik Henryk Pankowski. W zespole wikariuszowskim od roku przebywał ks. Bolesław Exler, który po roku pobytu w Ostrowie poprosił o przeniesienie. Drugim wikariuszem był ks. Edmund Kwissa, starszy ode mnie stażem i święceniami. I tu trafiłem również na trudności mieszkaniowe. Dostałem mały pokój z oknem podnoszonym w dachu. Jeszcze dziś czasami mi się śni, że wchodzę do niego na czworakach. Największe zdziwienie wzbudził we mnie zawieszony na ścianie głośnik. Widocznie księdzu proboszczowi wydawało się, że w ten sposób najlepiej będzie się mu porozumiewać ze swoimi wikariuszami, nie ruszając



Kościół pw. Wniebowzięcia NMP w Obornikach Wlkp.

się ze swojego mieszkania. Sęk w tym, że mógł on w każdej chwili, bez wiedzy zainteresowanego, włączyć głośnik, który działał jak mikrofon. Wywołało to sprzeciw i księża wikariusze przewody poprzecinali. Taki stan zastałem już po moim przybyciu. Konferencje pomiędzy wikariuszami a księdzem kanonikiem odbywały się odtąd w jego mieszkaniu. Posiłki jadaliśmy osobno. Po dwóch latach mego pobytu w Obornikach organista z rodziną zwolnił mieszkanie w wikarówce, przenosząc się do wybudowanego specjalnie dla nich pomieszczenia w budynkach kościelnych. W ostatnim roku pobytu w Obornikach miałem więc warunki komfortowe.

Jeśli chodzi o kontakty z moimi konfratrami, najlepiej rozumiałem się z ks. Bolesławem. Często odbywaliśmy wspólne spacerunki i szczerze rozmawialiśmy. Ksiądz Exler był zawsze bezkompromisowy w relacjach z władzami komunistycznymi, np. kiedy odbywało się tzw. głosowanie, bo nie wybory, nigdy nie brał w nim udziału, chociaż było to obowiązkowe. Oczywiście taka postawa spotykała się z dezaprobatą funkcjonariuszy Urzędu do spraw Wyznań, przed którymi musiał się z takiej postawy tłumaczyć, ale był nieugięty.

Cała parafia oddana była w opiekę Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny.

W Obornikach był również kościół filialny, poprotestancki pw. św. Józefa, w którym co niedzielę odprawialiśmy Mszę św. dla młodzieży, a w dni powszednie uczyłem dzieci, przygotowując je do Pierwszej Komunii św. Młodzież katechizował ks. Exler, a klasy podstawowe starsze ks. Kwissa. Jak w poprzednich parafiach każdy miał swój konfesjonał. Na zmianę też obsługiwaliśmy chorych w miejskim szpitalu i szpitalu specjalistycznym dla chorych na gruźlicę w Kowanówku. Przez tę miejscowość przepływała urocza rzeka Wełna – nad nią władze miejskie urządziły kąpielisko, z którego czasami i my korzystaliśmy. Rozpoznawały nas kąpiące się dzieci, kierując do nas chrześcijańskie pozdrowienie, co wywoływało dodatkowe zainteresowanie.

W wolne wieczory grywaliśmy w brydża, którego zasad tam się nauczyłem. Na czwartego zapraszano pana

Panasiuka, byłego kościuszkowca. Przeszedł on szlak od Lenino do Berlina, dowodząc kompanią złożoną z samych kobiet. Czasami przychodził wojskowy lekarz, który miał pod opieką więźniowie we Wronkach. Opowiadał, jak niektórzy więźniowie, by dostać się do więziennego szpitala, połykali różne ostre przedmioty, jeden nawet rozciął sobie brzuch i jełitami się poowijał.

Po dwóch latach ks. Exlera zastąpił ks. Jerzy Katerlak, przejmując jego obowiązki. Chyba w konfesjonale w Obornikach się przeziębził i zaczął cierpieć na nerki i na nie też w młodym jeszcze wieku zmarł.

Ostatnim etapem mojej wikariuszowskiej odysei był Nowy Tomyśl. Miasto zostało założone w 1786 roku jako centrum dla sprowadzonych przez ziemian osadników z różnych rejonów Niemiec, zwłaszcza znad granicy holenderskiej, dlatego nazywanych olędrami. Tereny, na które ich sprowadzono, były podmokłe i bagniste. Zadanie nowo przybyłych polegało na ich osuszaniu i zakładaniu na osuszonych ziemiach gospodarstw rolnych. Pozostałością po ich działalności są nazwy tych osiedli, takie jak: Paproć, Glinno, Sękowo, Jastrzębsko, Sątopy itp. Nowo przybyli przynależeli do różnych protestanckich wyznań. Nowy Tomyśl był więc miastem protestanckim, katolików mieszkało tutaj niewiele, stąd i kościół parafialny zbudowano dopiero pod koniec XIX wieku, tj. w 1896 roku. Parafię erygowano już po odzyskaniu niepodległości, w 1925 roku. Po drugiej wojnie nie-

mieccy osadnicy z tych terenów puciekali. Na ich miejsce przybyła ludność przesiedlana z terenów wschodnich, ale już wyznania rzymskokatolickiego. Po raz czwarty przyszło mi pracować w mieście powiatowym, z proboszczem sprawującym jednocześnie funkcje dziekańskie. Moim współpracownikiem był początkowo ks. Jerzy Juja, a po roku – ks. Zbigniew Gruss, ten sam, który w czerwcu 1959 roku odprawił prymicyjną Mszę św. w Piłce. Często korzystałem z gościnności jego rodziny.

Dziekan Michał Kosicki, jako kapelan 15. Pułku Ułanów, przeszedł szlak bojowy we wrześniu 1939 roku wraz z całym pułkiem walczącym z Niemcami nacierającymi na Warszawę. Proboszczem był od 1946 roku i witał nowo przybyłych Kresowiaków, którzy darzyli go zaufaniem. Wikariuszom dawał pełną swobodę, tak że zawsze prowadziliśmy własne gospodarstwo i własne życie.

Prócz zwykłych czynności kapłańskich zajmowałem się katechizowaniem młodzieży. Na terenie parafii były dwie szkoły średnie: liceum ogólnokształcące i szkoła zawodowa. Przez cztery lata młodzież licealna z różnych roczników codziennie zapełniała salkę katechetyczną, przychodząc na dodatkowe zajęcia. Muszę przyznać, że robiła to chętnie. Trochę gorzej było z młodzieżą ze szkoły zawodowej. Tutaj trudniej było znaleźć wspólny język.

Kościół barokowy poprotestancki z balkonami, wybudowany w 1783 roku, mógł pomieścić więcej ludzi, tam też



Kościół parafialny pw. Matki Boskiej Nieustającej Pomocy
w Nowym Tomysłu, grafika Jacka Stelmaszyka

urządzano dla młodzieży nabożeństwa. Kościół parafialny był mniejszy i wymagał remontu, zwłaszcza po pożarze ołtarza. Z polecenia księdza dziekana zająłem się więc jego odnową.

Janusz Różański, mąż mojej kuzynki, architekt wnętrz, zaprojektował granitowy ołtarz, ambonkę, chrzcielnicę i posadzkę w małym kościele, a kamieniarz Pawłowicz z Poznania je wykonał. Zrobienie nowej ramy do obrazu Matki Bożej Nieustającej Pomocy zleciłem złotnikowi Kosickiemu z Poznania, do którego jeździłem z projektem. Pan Różański

zaprojektował także witraże w prezbiterium – wykonane zostały w pracowni Powalisza na Śródcie. Na belce tęczowej zawisł nowy krzyż z metalu. Nowe ławki wykonał miejscowy stolarz Kroma. Spalony ołtarz nie posiadał cennych rzeźb; te, które ocalały, umieszczono przy chórze. Kościół przybrał więc nowy wystrój; zwłaszcza ołtarz tzw. soborowy dostosowany do wymogów zreformowanej liturgii.

Muszę dodać, że w okresie mojej pracy wikariuszowskiej dokonywały się w Kościele powszechnym wielkie zmiany wprowadzone przez II Sobór Watykański. Sobór powszechny został zwołany przez papieża Jana XXIII, aby – jak się wyraził – „strząsnąć z Kościoła kurz konstancjański”, narosły przez wieki. Kościół w swojej pracy duszpasterskiej miał być bardziej otwarty, dostosowany do współczesnego świata. Śledziłem każdą sesję soborową bardzo uważnie. Czytałem relacje z tych sesji, a potem opracowane przez Sobór konstytucje, zwłaszcza *Konstytucję dogmatyczną o Kościele* i *Konstytucję o Kościele w świecie współczesnym*.

Kościół z obronnej twierdzy zamkniętej na nowe prądy stał się bardziej otwarty, wychodził światu naprzeciw. Zaznaczyło się nowe spojrzenie na Kościół jako Lud Boży obejmujący całą ludzkość, którą Chrystus przyszedł zbawić poprzez Krzyż i swoje Zmartwychwstanie. Widoczne było większe zbliżenie, korzystanie z osiągnięć współczesnej nauki, rozumienie świata nie jako terenu Kościołowi wrogiego, ale jako drogi, którą powinien kroczyć, aby wypełnić swoją

misję. Chrześcijanie innych wyznań przestali być heretykami, a stali się braćmi od Kościoła odłączonymi.

Wyrazem tych zmian była reforma liturgii Mszy św. Kapłan stojący dotychczas tyłem do zebranych zwrócił się do nich twarzą i zamiast tajemniczych gestów i słów odprawiał Eucharystię w sposób dla wszystkich zrozumiały, dzięki wprowadzeniu do niej języka narodowego. Zgromadzeni z widzów stali się uczestnikami. Niestety reformy liturgiczne wprowadzane często bez przygotowania i zbyt pośpiesznie mogły przynosić i przynosiły w wielu krajach więcej szkody niż pożytku.

Nowy Tomyśl, a z nim parafia, stawał się coraz większy. Powstawały nowe budynki i nowe osiedla. Kresowianie zmieszali się z przybyszami z różnych części Polski. Cała społeczność skupiała się wokół kościoła rzymskokatolickiego, który jednoczył wszystkich duchowo, i wokół CHIFY – fabryki narzędzi chirurgicznych, która dawała większości mieszkańców pracę. Ludności wiejskiej właściwie nie było, bo nie było w ścisłym tego słowa znaczeniu wiosek. Rozrzucone w dużych odległościach gospodarstwa stanowiły odrębne całości; do każdego domu trzeba było jechać inną drogą, bo prawie każde obejście miało własny dojazd, tylko do niego prowadzący. Stanowiło to kłopot, zwłaszcza w czasie kolędy, bo na dojazdy traciło się dużo czasu. W większości domy w Glinie, Paproci i Sękowie były obszerne, nieomal jak szlacheckie dworki, chociaż nie przez wszystkich zamieszkujących nale-

życie zadbane. Kresowiaci przywieźli ze sobą cechującą ich gościnność. Szkoda, że młodzi po zdobyciu wykształcenia przenosili się do większych miast.

W czasie mego tu duszpasterzowania zmarł w 1967 roku na raka trzustki, w wieku 37 lat, mój młodszy o rok brat Michał. Zaraz po ukończeniu Technikum Rolniczego dostał skierowanie do pracy gdzieś na Ziemiach Zachodnich. Był kierownikiem gospodarstwa rolnego liczącego tysiąc hektarów, miał do dyspozycji sześciu stałych pracowników i niewiele maszyn. Całe szczęście, że został powołany do wojska, po którym wrócił pomagać ojcu. Z braku pełnej samodzielności nie założył rodziny. Był człowiekiem głębokiej wiary, do śmierci przygotowywał się przez długie miesiące cierpienia. Odszedł do Pana w Wielkim Tygodniu, śpiewając dzień wcześniej z pomocą matki *Wisi na krzyżu*.

Po czteroletnim pobycie w parafii nowotomyskiej obdarzono mnie godnością proboszcza, tym samym kończył się czas pracy wikariuszowskiej, a rozpoczął czas duszpasterzowania na własną odpowiedzialność.

Był lipiec 1969 roku, trzynasty rok mojego kapłaństwa.

PROBOSZCZOWANIE

PARAFIA GOŁĘBIN STARY
PW. WNIEBOWZİĘCIA NMP

Do wyznaczonej przez władze kościelne parafii wiózł mnie ks. Florian Śliwa, świeżo mianowany proboszcz w położonym blisko Nowego Tomysła Jastrzębsku. Chlubił się on posiadaniem luksusowego jak na owe czasy samochodu marki Syrenka. Swojej Panonii już dawno się pozbyłem, kupując w to miejsce Renault Dauine. Wóz wyglądał ładnie, ale w praktyce okazało się, że zużywa tyle samo oleju, co benzyny. Sprzedający nie uważał za stosowne poinformować kupującego, że silnik tego samochodu ma pęknięty blok. Tak więc jak radośnie go kupiłem, tak też z radością go sprzedałem. Będąc bez pojazdu, ucieszyłem się, że posiadacz tak znakomitego samochodu zgodził się zawieźć mnie do wyznaczonej parafii na rekonesans. Jechałem z mieszanymi uczuciami, z radością, bo oto jadę do mojej parafii, i zaciękawieniem, jaka to parafia.



Plebania i kościół w Gołębiniu Starym

Władze kościelne, kierując mnie do jej objęcia, nie informowały o szczegółach. Po drodze w Czempiniu zatrzymaliśmy się, aby zjeść kurczaka z rożna. Zamówiłem ćwiartkę, mój towarzysz całego i jechaliśmy dalej. Wreszcie ukazała się wieża kościelna w Gołębiniu. Po przybyciu szukamy probostwa. Przy kościele stał dom, a przy nim mały chlewik, z którego jakiś mężczyzna wyrzucał mierzwę. Ks. Florian przedstawia mnie jako nowo mianowanego proboszcza. Zaskoczony mężczyzna pyta: „A gdzie ksiądz będzie mieszkał?”. Okazało się, że żadnej plebanii nie ma. Co prawda niewielki budynek obok należy do kościoła, ale jest zamieszkanym przez dziadka i rodzinę z dziećmi. W budynku jest jeszcze mała

salka, w której ksiądz z sąsiedniej parafii uczył dzieci. Parafia obsługiwana była przez księży rezydujących w Wyskoci. Ostatni stały proboszcz przypisany do tego kościoła i parafii rezydował w Gołębiniu na początku XIX wieku. Wróciliśmy więc z powrotem w minorowych nastrojach, zastanawiając się, co dalej. Na szczęście nie miałem żadnych własnych mebli, bo i tak nie byłoby gdzie ich umieścić. Postanowiłem stawiać czoło wezwaniu i się nie załamywać. Spakowałem, co do mnie należało, i znowu korzystając z uprzejmości ks. Eugeniusza, wróciłem, by objąć obowiązki proboszcza.

Parafia pw. Wniebowzięcia NMP wraz z wsią Spytkówki liczyła 800 osób. Wieś Gołębina tworzyli pracownicy kombinatu PGR, którzy wówczas mieszkali jeszcze w starych czworakach pańszczyźnianych. Jadąc kiedyś taksówką z Kościana, usłyszałem, że Gołębina to czworaki, szopy, chlewiki i przy nich budy dla królików i psów. Później zacząłem się to zmieniać, a na miejscu czworaków wyrosną bloki z pełnym wyposażeniem.

Po przybyciu do Gołębina objąłem w posiadanie wspomnianą salkę, ale aby w niej zamieszkać, trzeba było poddać ją remontowi. Znalazło się dwoje starszych, bardzo życzliwych Kościołowi emerytów o nazwisku Matyjaszczyk, którzy przyjęli mnie jako sublokatora do czworaków. Korzystając z ich uprzejmości, przebywałem u nich kilka tygodni, do czasu zakończenia remontu salki. Wreszcie zamieszkałem u siebie na plebanii. Po pewnym czasie przyjechali do mnie



Wnętrze kościoła pw. Wniebowzięcia NMP w Gołębiniu Starym

z wizytą: ksiądz dziekan i ksiądz wicedziekan. Pierwszy był proboszczem jedynej wówczas parafii w Kościanie, drugi proboszczem w Czempiniu. Kiedy znaleźli się w moim apartamencie, umeblowanym w połowe łóżko i jedno krzesło z małym stolikiem, nie mieli gdzie usiąść. Zaproponowałem im łóżko, ale nie skorzystali, więc ja na nim usiadłem, a oni stali, mówiąc: „Jak Łazarz”. Przypomnieli sobie ewangelię o Łazarzu i bogaczu, ale tak jak bogacz pozostawili mnie swojemu losowi – nic nie spadło z ich stołów na mój stoliczek. Zresztą nie przyszło mi do głowy, żeby czegoś od nich oczekiwać. Wreszcie chyba po roku kierownictwo PGR-u przeniosło rodzinę zamieszkującą plebanię do nowo zbudowanego blo-



Ołtarz po odnowieniu

ku. Dziadka gościłem u siebie jeszcze dłuższy czas. Dopiero gdy się wyprowadził, mogłem zacząć myśleć o urządzeniu łazienki. Najpierw trzeba było na plebanię doprowadzić wodę. Z pomocą przyszły miejscowe kobiety, które wykonały wykop pod łączce doprowadzające wodę z oddalonego o ja-

kieś 200 metrów ujęcia, o głębokości prawie dwóch metrów. Zrobiły to z własnej woli, bez żadnej prośby z mojej strony.

Pochodzący z połowy XVII wieku kościół w Gołębinie jest niezwykle piękny, zbudowany z modrzewiowych belek. Ołtarz główny z obrazem Wniebowziętej, otoczony rzeźbami świętych i dwa ołtarze boczne: jeden z Chrystusem przy słupie biczowania, drugi ze św. Izydorem, patronem rolników, pod nim epitafium i data: 1666. Na chórze dwa duże portrety fundatorów kościoła: Jana Prawdzic-Domiechowskiego i Doroty Zakrzewskiej.

W czasie wojny kościół był magazynem materiałów wybuchowych. Kiedy zbliżał się front, niemiecki oficer, który miał wysadzić kościół w powietrze, powiedział do miejscowej ludności: „Tak długo kościół się uchował. Jeśli potrafiacie w godzinę wszystkie materiały wynieść w pole, gdzie będą wysadzone, to go nie zniszczę”. Przybiegli wszyscy i w godzinę wynieśli wszystkie materiały. Tak kościół został uratowany, wymagał jednak natychmiastowego remontu.

Kiedy w zimie odprawiałem Mszę św., w kielichu zamarzło mi wino – tak wielkie były szpary między belkami w ścianie prezbiterium. Kościół był tak zbudowany, że pomiędzy dwiema pionowymi belkami, ustawionymi z zewnątrz i od wewnątrz, układano belki poziome wprost na podłożu z ziemi i kamieni. Niestety przez wieki nie wymieniane zaczęły od spodu gnić. Jakoś zimą w tych warunkach przeżyłem, ale już na wiosnę postanowiłem ruszyć z remontem. Którejś nie-

dzieli zwróciłem się o pomoc do mężczyzn, którzy następnego dnia, bo już w poniedziałek, w liczbie ponad dwudziestu chłopów, stawili się do pracy. Tymczasem w tym dniu musiałem wyjechać, wyjaśniłem więc, że trzeba etapami wybierać zgniłe belki, a pod nowymi budować fundament z kamieni zalewanych betonem, dając następnie izolację z papy, by zdrowe belki nie spoczywały wprost na fundamencie. Jakież było moje zaskoczenie, gdy po powrocie zobaczyłem kościół oczyszczony z dołu ze zniszczonych belek, a całą konstrukcję wiszącą na kilku zdrowych. Chyba Opatrzność Boża nie pozwoliła mu runąć, wysyłając aniołów, by podtrzymywali ściany. Kościół stał na kilku jeszcze nie całkiem zmurszałych belkach pionowych. Po położeniu fundamentu i te pionowe musiały być podcięte i osadzone na betonowych słupach. Zrobiliśmy to tylko z tymi od wewnątrz, zewnętrzne pozostawiając na czas późniejszy, tym bardziej że trzeba by było wymienić okrywające je zewnętrzne deski, a to przekraczało na razie nasze finansowe możliwości.

Czekało jeszcze wnętrze kościoła, w którym należało zmyć farbę olejną od dołu i zwykłą farbę ze ścian. Do tej pracy zaprosiłem studentów Akademii Sztuk Pięknych. Przeżarte przez korniki rzeźby moczone były w roztopionym wosku i na nowo malowane. Wszystkie obrazy po wyjęciu z ram wyglądały jak firanki i w połowie pozbawione były farby. Pracownia kościelna nie chciała się podjąć ich renowacji, bo trzeba by je podkleić nowym płótnem, a ubytki wypunktować,



Postacie apostołów przed odnowieniem

tzn. braki wypełnić farbą. Skierowano mnie do prywatnego konserwatora, który to zrobił znakomicie. W ten sposób podnawiał wszystkie obrazy, nie tylko w głównym, ale i w bocznych ołtarzach, także wiszące na ścianie.

Obraz Wniebowzięcia przedstawiał Maryję uniesioną, a nad nią znak Trójcy Świętej, pod stopami pusty grób, ale wypełniony kwiatami. Odpusty 15 sierpnia gromadziły ludzi również z innych parafii, tak że trzeba było odprawiać Mszę św. na zewnątrz kościoła. Obraz miał srebrną sukienkę i już zniszczoną koronę. Przypuszczam, że po koronacji obrazu w Częstochowie w 1713 roku, tego samego, ale już

prywatnie, dokonywano na obrazach Maryi w kościołach, gdzie doznawała większej czci. Świadczyła o tym ta sama data wygrawerowana na sukience. Prace trwały kilka lat, ale zakończyły się pełnym odnowieniem wnętrza. Przyszła też kolej na nowe ławki i soborowy ołtarz z ambonką.

Kaplica kościoła zbudowana w stylu klasycystycznym została zamknięta oszkloną kratą, tak żeby ją można było wykorzystywać w zimie na odprawianie codziennych nabożeństw. Ponieważ kościół otrzymał ogrzewanie z piecyków elektrycznych, w kaplicy, dzięki temu przeszkoleniu wystarczał jeden, co łączyło się z pewnymi oszczędnościami. Zastosowanie ogrzewania na prąd wymagało oczywiście wymiany instalacji elektrycznej w całym kościele. Drewniane kościoły zawsze narażone są na niebezpieczeństwo spalenia. Stąd dla proboszcza ciągle o nie obawa.

Jak już wspominałem, parafię tworzyły dwie wioski, ale bardzo się od siebie różniące. Mieszkańcy Gołębina byli przed wojną poddanymi właściciela tych dóbr. Do pracy chodzili więc na pańskie, nie mieli nigdy swojej własności, poza małymi działkami i przydomową hodowlą inwentarza. Po upaństwowieniu niewiele się pod tym względem zmieniło. W dalszym ciągu pracowali na pańskim, z tą różnicą, że właściciel nie był prywatny, lecz państwowy. Nadal byli od kogoś zależni, ciągle ktoś wydawał im dyspozycje, kierował do pracy i pilnował, czy została dobrze wykonana. Rozróżniali trojako własność: państwową, czyli niczyją, ludzką, czyli

współmieszkańca, i własną, czyli swoją prywatną. Na państwowe się chodziło zwłaszcza po zmroku, ludzkiego się nie ruszało. Mieszkania należały, z wyjątkiem wyposażenia, do tej pierwszej kategorii. Jeśli więc coś uległo uszkodzeniu, naprawiał zakład, a nie mieszkańcy. Wszystko to odbijało się na sposobie myślenia i zachowania, które było mniej samodzielne; raczej oglądano się na innych, przede wszystkim przełożonych, kierowników. Gołębin wchodził w skład kombinatu złożonego z kilku Państwowych Gospodastw Rolnych, do których należały Gorzyczki, Turew i inne. W okresie żniw dwa kombinaty rolne: Gołębin i Manieczki rywalizowały między sobą o to, który z nich rozpocznie pierwszy żniwa, albo który więcej zbierze ziarna z hektara. Liczyła się nie jakość, a ilość; by osiągnąć swój cel posługiwano się nie zawsze uczciwymi środkami. Mimo wszystko ludziom żyło się nie najgorzej – mieli ładne mieszkania, pracę jako tako wynagradzaną, do tego dochodził deputat, mogli też hodować przy swoich domach niewielki inwentarz, uprawiać ogródki. Liczyła się zwłaszcza „trzynastka”, dodatkowa pensja, przyznawana pod koniec roku. Jej wypłatę łączono z kiermaszem różnych towarów, w ten sposób pieniądze bardzo szybko się rozchodziły.

Wieś Spytkówki powstała z uwłaszczenia części ziem należących do ziemian. Reforma rolna dokonana przed wojną obdarzyła każdą rodzinę 10 hektarami ziemi z dodatkiem jakiegoś funduszu na zagospodarowanie. Potomkowie tych

rodzin po wojnie byli już dobrze zagospodarowani, czuli się w pełni gospodarzami, panami na swoim. Zmuszało to do samodzielnego myślenia i działania na własną odpowiedzialność. Było więc widać różnicę pomiędzy mieszkańcami Spytkówki i Gołębina, ale zarówno jedni, jak i drudzy w kościele czuli się u siebie, jednakowo byli za kościół odpowiedzialni.

Zmarłych, jak to dawniej bywało, chowaliśmy wokół świątyni, miało to swoją wymowę, bo groby „oparte” o kościół wyrażały jedność z Tym, w którego za życia wierzyli. Groby były wielopokoleniowe, zmarłych kładziono jednych na drugich. Niestety, współczesne wznoszenie kamiennych pomników szybko zapępniało miejsca. Na szczęście udało nam się przesunąć mury okalające cmentarz i w ten sposób zyskać nieco terenu, a pod murem posadzić drzewa.

Chociaż była to liczebnie mała parafia, nigdy nie czułem się opuszczony, wszyscy przyjmowali kapłana jak członka rodziny. Szczególną gościnnością odznaczał się kierownik szkoły Stefan Flieger wraz z żoną Katarzyną. W czasach wrogiego nastawienia do Kościoła dawali przykład uczęszczania na niedzielną Mszę św., przystępowania do sakramentów świętych. W dwudziestoleciu międzywojennym Stefan Flieger był nauczycielem na Kresach, tam poznał córkę popa, która została jego żoną. Chętnie korzystałem z ich serdecznej gościnności. Inną rodziną przyjmującą chętnie kapłana była rodzina Turowskich. On był księgowym w miejscowym zakładzie, a jego żona pomagała mi nieraz w przygotowaniu

różnych uroczystości. Wymienić musiałbym jeszcze rodzinę głównego księgowego Stawickiego. Z wioski trudno wymieniać, bo trzeba by prawie wszystkich, jak Naskrętów, Rymaniaków, Józefiaków i innych. Z ich gościnności nie korzystałem, by nie narazić się na zarzut, że jednych wyróżniam, a drugich pomijam.

Mimo że parafia liczyła zaledwie 800 osób, nigdy nie odczuwałem braków finansowych. Codzienne i niedzielne Msze św. zawsze połączone były z intencjami. Zamawiający je każdorazowo przynosili dary ofiarne ze stojącego przed ołtarzem stolika. Muszę dodać, że chociaż początkowo szło to opornie, później przełamali wstyd i dbali, aby ktoś inny tego przywileju im nie odebrał. Zaprowadziłem też od razu sprzątanie kościoła przez kolejne rodziny, co z czasem stało się praktyką w wielu parafiach. W parafiach miejskich jest to nie do przeprowadzenia, a przekonałem się o tym, gdy w takiej się znalazłem.

Katechizacja dzieci i młodzieży odbywała się w zamienionym na salkę chlewiku. Jak wiadomo, na wszystko potrzebna była zgoda władz, nawet na przerobienie zabudowania gospodarczego. Wystąpiłem więc o zgodę na przerobienie go na pralnię, wiedząc, że z salką byłyby trudności. Wyszła z tej przeróbki dość przyzwoita salka, do której dzieci zawsze pędem biegły „na religię”. Młodzież, tak jak w Nowym Tomyślu, usiłowałem zainteresować misjami. W tym celu pakowaliśmy dziesięciokilogramowe paczki z żywno-

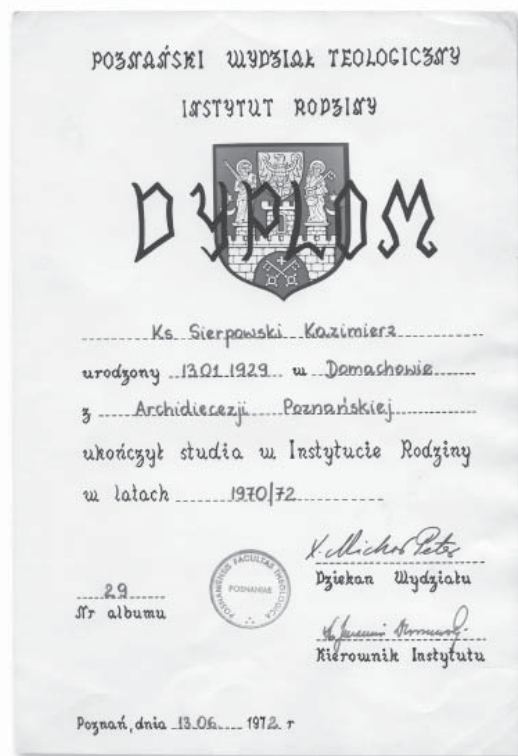
cią, owijając je większą ilością szarego płótna, do powtórnego wykorzystania już na miejscu, i wysyłaliśmy do Indii i Kamerunu.

Pod koniec mojego duszpasterzowania w tej parafii zawiesiliśmy na wieży kościelnej dwa dzwony odlane w ludwisarni w Węgrowie. Dzwony poświęcił ks. infułat Wietrzykowski, wygłaszając przedtem kilkudniowe rekolekcje.

Rekolekcje przeprowadzane były każdego roku. Dodatkowo specjalistyczne nauki dla małżonków i przygotowujących się do małżeństwa wygłaszali tacy prelegenci, jak: ks. dr Karol Meissner, dr Suszka z Kórnika albo dr Andrzej Urbaniak z Poznania. Nauki dla dzieci głosiła pani Maria Kwiek.

W czasie mojego proboszczowania w gołębińskiej parafii jeździłem kilka lat na wykłady Studium Rodziny, które ukończyłem z dyplomem.

Studium nauczyło mnie, że przygotowanie do życia w rodzinie musi obejmować trzy etapy. Etap pierwszy, dalszy, obejmuje wychowanie rodzinne, a także cały okres szkolny od przedszkola poczynając, gdzie powinno wykorzystywać się różne okazje, zwracać uwagę na odpowiednie przygotowanie dziecka czy młodego człowieka do życia w rodzinie. Etap bliższy dotyczy już młodych myślących o zawarciu własnego małżeństwa i założeniu rodziny. Ostatni, bezpośredni, to trzy spotkania z księdzem w kancelarii parafialnej, gdzie najpierw rozmowa skierowana jest na światopogląd młodych, następnie na etykę małżeńską i przygotowanie



Dyplom ukończenia Studium Rodziny

liturgiczne. Dziś, obserwując niż demograficzny, zastanawiam się, czy w duszpasterstwie rodzinnym nie popełnia się błędów. Może za duży nacisk kładzie się na umiejętność unikania porzucenia, a pomija się odpowiedzialność za przyrost naturalny w narodzie. Rodzina to nie tylko małżeństwo i dzieci, byle mniej, aby nie stanowiły kłopotu, ale też ród i naród, których liczebność i rozwój zależy od każdej rodziny. I nie wystar-

czy, aby każde małżeństwo postanowiło mieć dwójkę dzieci, bo nie zastąpi to liczebności pokoleniowej. Troje dzieci utrzyma liczebność, ale nie da przyrostu, bo nie każde z owych dzieci doczeka dnia swego ślubu, może też się nie ożenić czy nie wyjść za mąż. Dopiero czwarte dziecko daje przyrost, tymczasem niewiele jest takich małżeństw, które by tego chciały.

Jeździłem także na wykłady przygotowujące do licencjatu. Niestety, z braku czasu nie napisałem pracy licencjackiej, której tematem miała być „Powszechna Komunia”. Napisałem ją dopiero na emeryturze, aby zrealizować obietnicę daną ks. profesorowi Ludwikowi Wciórce, tym bardziej że zarejestrował ją w Instytucie Teilhardowskim w Paryżu.

Jak wielkim dobrodziejstwem jest telewizor, przekonałem się, kiedy doszło do wyboru kardynała Karola Wojtyły na papieża. Własnego odbiornika długo nie miałem, dopóki nie pojawiły się kolorowe. Przywiozłem „Kolor 20” z Berlina, bo tam najpierw takie się pokazały. Na Zachodzie były dostępne o wiele wcześniej, ale dla nas, zamkniętych w obozie tzw. socjalistycznym, stanowiły towar nie do osiągnięcia. Po stać ks. Karola Wojtyły znałem z jego artykułów pojawiających się w „Tygodniku Powszechnym” i książek, np. *Miłość i odpowiedzialność* czy *Słowo i czyn*. Pamiętam, jak popularny Kisiel żałował, że Wojtyła „poszedł w biskupy”. Wówczas wydawało się Kisielewskiemu, że więcej by zdziałał na polu naukowym niż w hierarchii kościelnej. Czytając kalendarium

życia Jana Pawła II, dostrzec można, jak od początku Ktoś kierował nim, by mógł w końcu znaleźć się tam, gdzie 16 października 1978 roku osadziła go Opatrzność.

Drugim wielkim przeżyciem, zwłaszcza dla parafii, było nawiedzenie obrazu Matki Bożej Częstochowskiej. Zaangażowało ono całą społeczność parafialną w dekorowanie dróg, domów, w przygotowanie kościoła. Odbyte przedtem misje przygotowały wszystkich duchowo, ale najważniejszym momentem było samo odebranie Obrazu z poprzedniej parafii z udziałem ks. biskupa Tadeusza Ettera. Obraz z naszej parafii odprowadziliśmy później do Kościana. Myślę, że nawiedzenie w okresie prześladowań wierzących dało ludziom okazję zmanifestowania wiary i przywiązania do Kościoła katolickiego.

Pobyt w parafii gołębińskiej przypadł na czasy gierkowskie. Edward Gierek, wybrany na pierwszego sekretarza po Władysławie Gomułce, sprawował rządy dyktatorskie przez dziesięć lat. Pierwsze pięć lat upłynęło spokojnie; na hasło skierowane do społeczeństwa „pomóżecie?” większość odpowiedziała „pomożemy”, tym bardziej że zaczęło się znowu zmieniać na lepsze. Gierek zaciągnął wielomiliardowy kredyt na Zachodzie, zakupił w Związku Radzieckim technologię produkcji „wielkiej płyty” i zaczęły powstawać nowe bloki, osiedla, ludzie zdobywali upragnione mieszkania. Nie były one najlepsze – zimne, betonowe, ale jak się nie ma nic, ciesz się to, co jest. Największym osiągnięciem doby gierkowskiej



Nawiedzenie obrazu Matki Bożej Częstochowskiej w gołębińskiej parafii

był jednak zakup licencji na produkcję samochodu Fiat 126p, zwanego popularnie „maluchem”. I mnie udało się „wygrać” na tzw. książeczkę samochodową możliwość zakupu „malucha”.

Uradowany wybrałem się nim w czasie wakacji na tygodniową wycieczkę do Budapesztu. Niestety, co kilkanaście kilometrów musiałem stawać, odkręcać wlew paliwa, by wypuścić powietrze. Przy zakręconym wlewie silnik dławił się i odmawiał posłuszeństwa. Zatrzymałem się po drodze przy różnych samochodowych warsztatach, by coś na to poradzili. Niestety, nikt nie mógł znaleźć przyczyny. Dopiero gdzieś już bliżej Katowic jeden z mechaników odkrył, że rurka, która miała dostarczać powietrze, by przy ubytku paliwa nie tworzyła się próżnia, jest fabrycznie zasklepiena.

Zadowolony, po usunięciu zasklepiającej blaszki, mogłem już spokojnie kontynuować wyprawę. Kraje socjalistyczne były w tym czasie dla nas dostępne. Po zatrzymaniu się w Żywcu na nocleg, wczesnym rankiem ruszyłem dalej, podziwiając po słowackiej stronie nieznanne mi krajobrazy. Zbyt nie przejmowałem brakiem znajomości języka węgierskiego, przecież „Polak Węgier dwa bratanki”, zawsze jakoś potrafią się dogadać, choćby na migi. Przed samym Budapesztem zobaczyłem drogowskaz i napis: „camping”, a więc niedaleko było pole namiotowe. Odnalazłem je, rozbiłem namiot, wyszedłem, by nieco rozprostować kości, i ku mojemu zaskoczeniu spotkałem dwóch kapłanów, Alfreda Mąkę i Ludwika Maćkowiaka. Wszędzie można spotkać swojaków.



Autor z Jackiem i Stefką – późniejszymi dominikanami

Dzięki „maluchowi” mogłem też wyprawić się do Puław, gdzie mieszkała moja siostra Felicja. Jej mąż Stefan Norkowski pracował w Instytucie Weterynarii Wojskowej, w którym, jako toksykolog, zajmował się poszukiwaniem antidotum na różne trucizny. Mimo że był wojskowym w stopniu pułkownika, z całą rodziną uczęszczał co niedzielę do kościoła garnizonowego. Miał czwórkę dzieci, dwie córki i synów bliźni-

ków, którzy w sferach wojskowych robili mu niezłą reklamę, służąc do Mszy św. i występując na niej w charakterze lektorów. Uznawany był wśród kolegów za eksperta w sprawach kościelnych i religijnych. Przez dłuższy czas tolerowano ten stan rzeczy, dopóki synowie nie wstąpili do Seminarium Duchownego. Przekroczyło to możliwości akceptacji ze strony partyjnych dowódców i mimo zasług na polu naukowym przeniesiony został w stan spoczynku.

W drodze powrotnej z Czarnolasu, gdzie odwiedziłem Jana Kochanowskiego, jechałem „wielbłądzią” drogą, która, choć z nową nawierzchnią, miała same garby. Doprowadziło to do wypadnięcia nakrętki od silnika. Zauważyłem to wówczas, gdy szyba z tyłu pokryła się olejem silnikowym. Podobnie jak z korkiem wlewu nie wiedziano, jak temu zaradzić, bo w żadnym warsztacie takiej nakrętki nie mieli. W końcu ktoś zauważył, że nakrętka zahaczyła się i jest obok silnika. I znowu „maluch” w trudnej sytuacji się sprawdził.

Będący chlubą epoki gierkowskiej Fiat 126p pomógł też ks. Mieczysławowi Radojewskiemu, ks. Stanisławowi Krasce i mnie wybrać się w Bieszczady. Po drodze zatrzymaliśmy się na Świętym Krzyżu, spotkaliśmy ks. profesora Włodzimierza Sedlaka, autora takich książek, jak: *Homo Electronicus*, *Życie jest światłem*, w których usiłował udowodnić, że istotą życia jest energia. Na Świętym Krzyżu prowadził poszukiwania związków krzemowych, w których miał nadzieję od-

kryć ślady życia. Ciekawa postać nieprzeciętnego kapłana, naukowca i odkrywcy nowego spojrzenia na tajemnicę życia.

W styczniu 1980 roku, w dzień św. Agnieszki, w imieniny swojej matki chrzestnej, która zginęła pod Stanisławowem w płomieniach kościoła podpalonego przez Ukraińców, zmarł w wieku 90 lat mój ojciec. Myślę, że ona była przy nim, bo ją bardzo szanował.

Kilka miesięcy później zostałem wezwany do Kurii, gdzie zaproponowano mi objęcie parafii Niepokalanego Serca NMP w Czerwonaku – po śmierci ks. kanonika Zbigniewa Spachacza należało poprowadzić dalej jego dzieło. Wróciłem do domu, łamiąc się w duchu, bo przecież w Gołębinie byłem zżyty ze wszystkimi, znałem każdego niemal po imieniu, razem pracowaliśmy przez dwanaście lat, znosząc trudy, walcząc z przeciwnościami. Niektórzy ojcowie rodzin przychodzili z prośbą, bym ich nie opuszczał, zwłaszcza ich dzieci. Z drugiej strony potrzebne mi było nowe doświadczenie, a także oderwanie się od czasem niebezpiecznych uczuć. Pożegnałem się ze wszystkimi z żalem. Znalazłem się w Czerwonaku, pozostawiając za sobą część swego życia i przywiązanie do pięknego kościoła i przychodzących do niego na codzienną i niedzielą Eucharystię ludzi.

PARAFIA CZERWONAK
PW. NIEPOKALANEGO SERCA NMP

Podobno nazwa Czerwonak pochodzi od czerwca, robaczka hodowanego przez siostry cysterki na Dziewiczej Górze; robaczek ten był źródłem purpury, używanej do farbowania szat liturgicznych. Inna wersja mówi, że na tych terenach toczyły się często walki na topory drużyn broniących dostępu do miasta Poznania. Płynęło wówczas dużo krwi, która zabarwiała ziemię na czerwono. Współcześnie mówiono, że większość mieszkańców miała lewicowe poglądy. Do dzisiejszego dnia jedno z osiedli nosi nazwę 40-lecia PRL. Jest faktem, że przed wojną było tu dużo niesprawiedliwości i wielu bezrobotnych. Po drugiej wojnie światowej powstały nowe zakłady i przybyło wielu napływowych mieszkańców. Ludność składała się, można powiedzieć, z autochtonów – zasiedziały od dawna mieszkańców – i nowo przybyłych,

także rodzin wojskowych, czy zatrudnionych w instytucjach wojskowych, z uwagi na pobliski poligon w Biedrusku.

Zanim przybyłem na stałe, by objąć funkcję proboszcza, zrobiłem mały rekonesans. Nierozpoznany przez nikogo, obszedłem kościół, brnąc po kostki w piachu. Obok kościoła stał magazyn z blachy na materiały budowlane. Wszedłem do kościoła, stan surowy, posadzka betonowa, ołtarz tymczasowy, dostawione konfesjonały, siedzieli spowiednicy, ale kościół był pusty, penitentów nie było widać. Podobno była to spowiedź wielkanocna przygotowująca parafian na zbliżające się święta. Po wyjściu skierowałem się na plebanię, która była zbudowana powyżej kościoła. Okazało się, że kościół usytuowano na skarpie ciągnącej się wzdłuż pradoliny Warty. Wspinając się nieco wyżej po rozmokłym gruncie, znalazłem się przy fundamentach budowanej salki; część przeznaczona dla wikariusza była nieco bardziej zaawansowana. Plebanię zbudowano z pustaków żużlowych; miała wymiary typowego domku jednorodzinnego. Budowy kościoła, a teraz domu katechetycznego pilnował starszy pan, który, jak się później dowiedziałem, nazywał się Mieczysław Wolicki. Od niego dowiedziałem się też, że stary kościół spłonął. Właściwie był to barak zamieniony na kaplicę; do niej to dojeżdżał ksiądz z pobliskiego Kicina. Czerwonak należał do parafii kicińskiej, dlatego duszpastersko podlegał proboszczowi mieszkającemu w Kicinie, którym od 1947 roku był ks. kanonik Zbigniew Spachacz. Samodzielną parafią został



Kościół pw. Niepokalanego Serca NMP w Czerwonaku

dopiero kilka miesięcy wcześniej i odtąd proboszcz z Kicina przeniósł się do Czerwonaka, a Kicin otrzymał innego gospodarza.

Kiedy kaplica spłonęła, uratowano z niej tylko ławki i przystąpiono natychmiast do budowy nowego kościoła, zaprojektowanego przez inż. architekta Holasa. Jak się dowiedziałem, świątynię zbudowano właściwie w czynie społecznym. Pieniądze potrzebne były na materiały budowlane, dźwigary i nieodzwonne przy takich pracach maszyny. Miało to swoje dobre i złe strony: dobre dlatego, bo budowano szybko i tanio, złe, bo nie zawsze fachowo i z pewnymi niedociągnięciami.

Parafianie byli bardzo przywiązani do swojego długoletniego proboszcza. Dało to się odczuć trudnym do zaakceptowania przez niektórych stosunkiem do nowo przybyłego. Nadmiar ciężarów związanych z budową doprowadził wkrótce księdza kanonika do ciężkiej choroby i śmierci. Wszystkiego tego dowiedziałem się od zacnego pana Woliczkiego, który będzie i mnie później wspierał.

Wróciłem do Kurii w niezbyt dobrym nastroju. Przedstawiłem księdzu biskupowi swoje obawy, że parafia podmiejska na pewno będzie duszpastersko trudna. Skwitował to wszystko słowami: „Ktoś tam musi pójść”. Poszedłem więc budować kościół materialny i ten żywy, złożony z wierzących w Boga i tych przypatrujących się nieco z boku.

Był dzień 14 kwietnia 1981 roku, krótko przed Wielkim Tygodniem i Wielkanocą. Trzeba więc było przygotować parafię na święta, a przede wszystkim do godnego przeżycia Triduum Paschalnego. W spadku otrzymałem pomocnika, ks. Zbigniewa Szyka; z powodu niewykończonej jeszcze wikarówki mieszkał u ludzi. Na probostwie pracowała była gospodyni – pani Franciszka Kożuch, pracowita i zawsze dbająca o księży.

Na początku parafia liczyła 3500 wiernych, pod koniec mojej pracy ich liczba dochodziła do 5000. Parafia się więc rozwijała, chociaż nie można tego powiedzieć o przyroście naturalnym, który wykazywał tendencję spadkową. Natomiast

udział w niedzielnej Eucharystii, zwłaszcza w przyjmowaniu Komunii św., był coraz większy, a nawet się podwoił.

Lata 1980–1981 były okresem oczekiwań na zmiany, na wprowadzenie reform politycznych, społecznych i gospodarczych w całym kraju. Skończyło się wszystko wprowadzeniem stanu wojennego i zamknięciem całego narodu znowu w okowach obozu socjalistycznego. Trudno było ujarzmić ducha polskiego, co jakiś czas, a nawet z pewną regularnością co dziesięć lat, dochodziło do buntów i strajków, tłumionych następnie w krwawy sposób. Kościół był na pierwszej linii tej walki, bo tylko w nim ludzie czuli się naprawdę wolni. Nadeszła noc 13 grudnia 1981 roku – ogłoszenie stanu wojennego i wypuszczenie ZOMO i wojska na ludzi chcących wolności.

Stan wojenny był dla całego narodu tragiczną niespodzianką. Przecież wszystkim się wydawało i mnie również, że jeśli do Solidarności zapisało się prawie dziesięć milionów członków, to już nic jej nie potrafi pokonać. Stało się jednak inaczej – naród spacyfikowano. Kiedy internowano przywódców solidarnościowego zrywu, tym samym załamał się duch w narodzie. Nic dziwnego, że wówczas patriotycznego ducha podtrzymywały Msze św. za Ojczyznę, którym przewodził nieznany dotychczas prosty warszawski wikary ks. Jerzy Popiełuszko. Jego wiara i odważne wystąpienia, w których mówił o godności każdego człowieka, a nade wszystko

człowieka pracy, dla władzy komunistycznej były nie do zniesienia. Ksiądz Jerzy Popiełuszko został bestialsko zamordowany. Dołączył do grona podobnych jemu męczenników z czasów komunistycznych rządów.

W czasie trwania stanu wojennego narzucono nam ograniczenia: kto chciał jechać dalej, musiał zaopatrzyć się w przepustkę; wróciły kartki na żywność i benzynę. Całe szczęście, że w tej sieci narzuconej na cały kraj były dziury, bo wśród tych, którzy mieli być strażnikami, znajdowali się ludzie wierzący, o których mawiano, że są jak rzodkiewki – na zewnątrz czerwoni, a w środku biali. Na przykład raz zatrzymany przez milicję na drodze zamiast mandatu wykupiłem się obrazkami, które przypadkowo znalazły się w moich dokumentach.

Mimo trudności prace przy kościele musiały toczyć się dalej. Już w pierwszym roku mojego proboszczowania na cementową posadzkę nałożyliśmy marmurową. Była to w większości „moravica”, osadowy kamień z Kielecczyzny, który nosił w sobie ślady życia sprzed milionów lat, ślady muszli, liści pradawnej roślinności itp. Przy stopniach prezbiterium założyliśmy „zygmuntówkę” – marmur bardziej odróżniający schody, z boku ustawiliśmy marmurową półkę podpartą metalowymi rozetami zaprojektowanymi przez architekta wnętrz, pana Janusza Różańskiego.

Całość prac przeprowadziło przedsiębiorstwo państwowe Kambud. Współpraca tego rodzaju przedsiębiorstwa z Kościołem nie była mile widziana przez partię, ale mieliśmy

przecież do czynienia z katolikami, chociaż czasami w służbie partii, tym bardziej niektórzy chcieli się zrehabilitować.

Przy budowie salki i wikarówki największe zasługi położył bardzo pracowity i kochany murarz pan Stanisław Dudziak wraz ze swym pomocnikiem Bernardem Walczewskim. Dzięki nim udało się szybko położyć cementowy chodnik wokół kościoła, wybudować schody i chodnik z kościoła na plebanię. W okresie jesienno-zimowym można było wpaść w poślizg i znaleźć się w zakrystii szybciej, niż się spodziewało. W następnych latach przysła kolej na ogrodzenie całego terenu, zresztą dość rozległego. Od strony zakrystii, przy chodniku, założyliśmy „ławę” – fundament pod murkiem, z myślą o rozbudowie w przyszłości kościoła i postawieniu w tym miejscu ściany. Ołtarz, który stał niesymetrycznie, znalazłby się w ten sposób w centrum świątyni.

Po mniej więcej dwóch latach dom katechetyczny z wikarówką został ukończony i wyposażony w potrzebne meble. Okazał się o wiele za mały w stosunku do potrzeb. W systemie nauki religii przy kościele musiało być więcej pomieszczeń niż pierwotnie założono. Katechezy z konieczności nauczano też w pomieszczeniach zastępczych, ale nie rozwiązywało to problemu. Postanowiłem więc połączyć dwa obiekty: dom katechetyczny z plebanią i na odpowiednich dźwigarach wybudować jeszcze dwie duże salki.

Równocześnie, prowadząc prace budowlane, cały teren obsadziliśmy zielenią, świerkami, krzewami. Jeden



Grota z figurą Matki Bożej przy kościele w Czerwonaku

z ogrodników z Koziegłów podarował 120 sadzonek jałowca płożącego, którym obsadziliśmy skarpe przed kościołem. Jak już wcześniej wspomniałem, cały teren, na którym wzniesiony został kościół i towarzyszące mu zabudowania, położony był na wzniesieniu wzdłuż starego koryta Warty, przepływającej tu tysiące, a może miliony lat wcześniej. Ze wzniesienia

sienia wypływały w różnych miejscach strumyki z ukrytych pod ziemią źródeł. Jeden taki strumyk znajdował się blisko kościoła, aż żał było go nie wykorzystać. Poprosiłem więc męża kuzynki, Janusza Różańskiego, aby zaprojektował mi grotę z kamienia, a pan Stanisław murarz, i Bernard, jego pomocnik, ją wykonali. Woda ze strumyka przepływała przez grotę, pod stopami Matki Bożej, której figurę przenieśliśmy z kościoła. Odtąd grota stała się miejscem modlitwy odwiedzających ją w ciągu dnia ludzi, a także miejscem większych zgromadzeń na wieczornych Apelach Jasnogórskich.

Kościół nie miał jeszcze dzwonów, a budowa wieży ze względu na usytuowanie terenu stwarzała duże trudności. Zdecydowaliśmy więc zamiast dzwonów spiżowych zainstalować dzwony elektroniczne. Wykonane przez znaną firmę Preisa mogły nie tylko dzwonić, określać czas, ale wykonywać różne melodie. Na rozpoczęcie dnia wybrałem melodię starej pieśni *Już od rana rozśpiewana chwał, o duszo, Maryję* – z uwagi na tytuł kościoła Niepokalanego Poczęcia NMP, w południe na Anioł Pański melodia *Po górach, dolinach...*, a wieczorem, o godz. 21.00 – *Apel Jasnogórski*, który tym samym wzywał ludzi na wieczorną modlitwę pod grotę.

Kiedy w 1987 roku na trzydziestolecie święceń kapłańskich pielgrzymowaliśmy do Ziemi Świętej, zbierałem kamyczki z miejsc w pobliżu wody, przy których Pan Jezus dokonywał cudownych uzdrowień. Umieszczone zostały później w grocie. I tak grota w Czerwonaku została powiązana

i z Matką Bożą, i z Jezusem wędrującym po Ziemi Świętej. Matka Boża z grotty została nazwana przez moją siostrę Marię Brzemionną, bo wysłuchana została jej prośba o dziecko, zanoszona tutaj w intencji synowej, która od lat nie mogła mieć potomstwa, a przez lekarzy uznana była za niepłodną. Wkrótce po tej modlitwie synowa mogła cieszyć się poczęciem, a później przyjściem na świat synka, a po roku drugiego dziecka.

Wracając do pielgrzymowania po Ziemi Świętej – miałem wrażenie, że wędruję po otwartej księdze Ewangelii, co krok napotykałszy miejsca tam opisywane, a obecnie najczęściej zabezpieczone murami świątyni. Największym przeżyciem było dla mnie wejście na Golgotę, miejsce ukrzyżowania Naszego Pana. Pod ołtarzem do dziś jest wykute w skale miejsce, gdzie wstawiono pionową belkę, po której spływała na ziemię Najświętsza Krew Zbawiciela. Każde wydarzenie ewangeliczne ma tutaj swoje odniesienie do konkretnego miejsca i jest przez chrześcijan utrwalone dzięki wybudowaniu powiązanej z wydarzeniem świątyni. Dzięki temu, choć różni wrogowie Kościoła Chrystusowego usiłovali te ślady pozacierać, przetrwały one do dnia dzisiejszego.

Najważniejszym wydarzeniem utrwalonym przez samego Zbawiciela jest Eucharystia sprawowana w kościołach całego świata. „To czyńcie na moją pamiątkę” i to czyniliśmy w nowo wybudowanym kościele w Czerwonaku. Wyposażenie jego wnętrza uzupełniano, jak wspominałem, pod kie-

runkiem znanego architekta wnętrz Janusza Różańskiego. Prezbiterium mieściło się nad kotłownią. Obawiając się, że podpiwniczenie mogłoby nie unieść kamiennego ołtarza, postawiliśmy ołtarz wykonany z belek dębowych, zaprojektowany przez tegoż architekta. Podobnie z ambonką i stolikiem na dary ofiarne przynoszone do ołtarza przez rodzinę, w której intencji Msza św. była odprawiana. W ten sposób nawiązywała się większa łączność wiernych ze sprawowaną Najświętszą Ofiarą.

Malowideł przedstawiających Niepokalane Serce NMP na ścianie obok prezbiterium nie udało się usunąć ze względu na sprzeciw Kurii, mimo że pod względem artystycznym pozostawiały wiele do życzenia. Całą ścianę chcieliśmy pokryć deską, tym bardziej że pojawiała się na niej wilgoć, a w miejscu malunków umieścić jakąś rzeźbę. Ściany pokryte klinkierem nie miały być ruszane, jedynie betonowe w przedsionku i na chórze, właśnie ze względu na osadzającą się na nich wilgoć miały być obudowane deską.

Ozdobą kościoła były zwisające z sufitu na miedzianych łańcuchach lampy, wykonane przez pracowników ZNTK – z miedzianej blachy, z pracowicie wymłotkowanym wzorem, zaprojektowane przez wymienionego artystę. Dzięki umieszczeniu wahadłowych drzwi z przodu i z boków powstał przedsionek przy wejściu do kościoła. Ustawiliśmy tam spiżowy wizerunek pierwszego proboszcza tej parafii, ks. kanonika Zbigniewa Spachacza.

Ze spizowych odlewów powstała też Droga Krzyżowa, której poszczególne stacje zostały umieszczone w dolnej części okien. Tłem dla nich miały być witraże wykonane przez Adama Gołębowskiego. Był on również autorem siedmiu witraży przedstawiających siedem sakramentów, rozmieszczonych niesymetrycznie po obydwu stronach kościoła. Nie wszystkie okna wypełniono witrażami, bo dla niektórych witrażem miała być piękna przyroda znajdująca się na zewnątrz.

Kościół konsekrował ks. arcybiskup Jerzy Stroba w 1985 roku. Konsekrację poprzedziły misje prowadzone przez dwóch redemptorystów, o. Tadeusza Rydzyka i ojca Stanisława Mikruta. W czasie wyprawy w Bieszczady wstąpiłem do Tuchowa, aby tę sprawę załatwić. Jak dotychczas redemptoryści mało udzielali się w naszej diecezji.

Kilka miesięcy wcześniej, w miesiącach letnich, na zaproszenie ks. Stefana Ganowicza zdecydowałem się wyprawić do Kanady. Trzeba było jednak najpierw postarać się o paszport. W tym celu udałem się do Obornik, do urzędu paszportowego, gdzie skierowano mnie najpierw do tego, od którego to wszystko zależało. Po krótkiej wymianie zdań ów urzędnik zaskoczył mnie stwierdzeniem: „Ja księdza znam, ksiądz uczył mnie religii”. Może dlatego nie kazał mi niczego podpisywać, a po powrocie, gdy oddawałem paszport, już nie kazano mi do niego iść. Wsiadłem więc bez przeszkód do „Chopina” i po ośmiogodzinnym locie przez Atlantyk wylądowałem na ziemi kanadyjskiej, w Montrealu, skąd po prze-



Konsekracja kościoła w Czerwonaku przez ks. arcybiskupa Jerzego Strobę



Autor z ks. Stefanem Ganowiczem

niesieniu się na inne lotnisko i dalszych sześciu godzinach lotu dotarłem do Calgary.

Jak już wcześniej miałem okazję wspomnieć, ks. prałat Kazimierz Żarnowiecki był człowiekiem otwartym na cały świat i wszędzie czuł się jak w domu. Kiedy więc (a było to już po jego przejściu w stan spoczynku w 1972 roku) dwóch młodych kapłanów wyraziło ochotę studiowania na jednym z zachodnich uniwersytetów, postanowił im w tym pomóc.



Ksiądz prałat Kazimierz Żarnowiecki

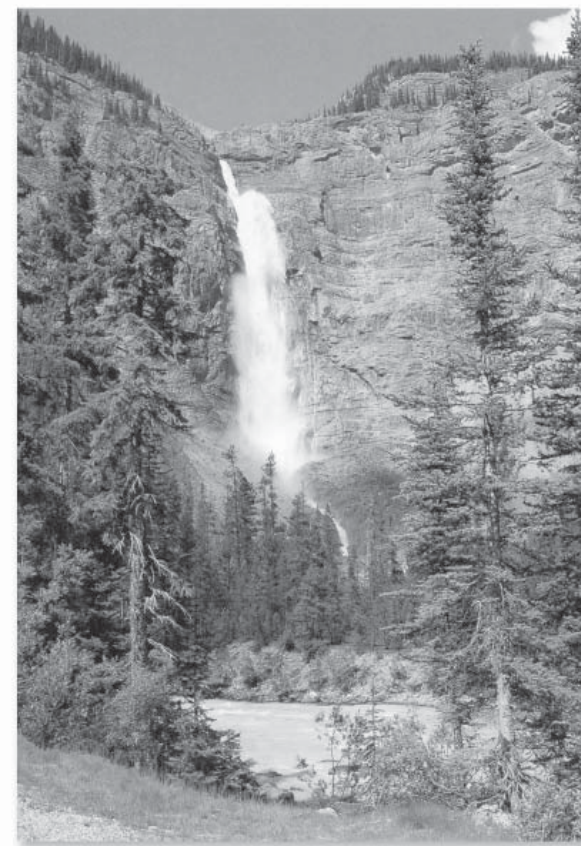
Z tym zamiarem wyjechali na Zachód. Gdy jednak nic z tego nie wyszło, młodzi namówili starszego stażem kapłana, by sprzedać samochód i polecieć do Kanady.

Po wielu perturbacjach, przyjęci przez miejscowego biskupa przywędrowali do jego diecezji, do Calgary. Wszędzie, gdzie pracowali, pozostawiali parafię, kościół i plebanię uporządkowane, dając przykład dużego zaangażowania w duszpasterskiej pracy. Ksiądz prałat, po kilku latach pobytu w Kanadzie, zmarł 13 listopada 1981 roku; pochowany został na

cmentarzu w Calgary. Przed wyjazdem otrzymałem od niego dużych rozmiarów gotycką ikonę, którą on sam otrzymał w 1945 roku od wojewody szczecińskiego Zaremby. Podobno ikona dostała się w ręce wojsk radzieckich, a przekazana przez dowódcę, prawdopodobnie marszałka Żukowa, wojewodzie, uniknęła wywiezienia do jakiegoś rosyjskiego muzeum. Oddałem ją tam, gdzie powinno być jej miejsce – Kościołowi.

W Calgary zostałem bardzo serdecznie powitany i przyjęty przez moich przyjaciół, księży Ganowicza i Burkiciaka, którzy, jak się okazało, byli obydwaj jednocześnie proboszczami tej samej parafii św. Marka. Potrafili jakoś dzielić się duszpasterskimi obowiązkami, mając do pomocy jeszcze stałego diakona. Liturgia Mszy św. była zawsze podniosła. Z zakrystii, dłuższą drogą wychodzili do ołtarza kapłani poprzedzani służbą liturgiczną. Na czele szedł lektor albo lektorka, niosąc nad głową lekcjonarz, potem szafarze Eucharystii, ministranci. W czasie sprawowania Eucharystii zawsze głoszona była homilia. Komunii udzielaliśmy wspólnie z szafarzami, wśród których były i kobiety.

Proboszczowie zapewnili sobie urlop, dzięki czemu mogliśmy odbywać wspólnie niezapomniane wyprawy, jadąc przez Park Narodowy Cananaskis z Banf do Jaspers, potem w drodze powrotnej przez Edmonton do Calgary. Utkwiły mi w pamięci niezapomniane widoki na Góry Skaliste; za-



Wodospad Takakkaw

trzymywaliśmy się przy co bardziej atrakcyjnych miejscach, kąpaliśmy się nawet w ciepłych źródłach.

Mogliśmy też zaobserwować coroczne cofanie się lodowca spowodowane ociepleniem klimatu. Wyprawa do British

Columbia była drugą z kolei; zatrzymaliśmy się w hotelu nad jeziorem Lake Louise na posiłek w szwedzkiej restauracji, przy Rewers Stock. Później oglądaliśmy budzący zachwyt już u miejscowych Indian wodospad nazywany przez nich Takakkaw, tzn. Wspaniały. Woda spływająca z wysokości 100 metrów zamienia się tu we wszystko ogarniający wodny pył. Jedziemy dalej i natrafiamy na miasteczko, które wygląda jak przeniesione z austriackiego Tyrolu. Domy zbudowane w tym samym stylu, mieszkańcy ubrani po tyrolsku zapraszają do swoich kafejek. Zastanawia utrzymywany wszędzie i przez wszystkich wzorowy porządek. Wyjaśniają, że za samo rzucenie niedopałka papierosa na ziemię można zapłacić studolarowy mandat; mimo że była tam ludzka mozaika – przybysze z całego świata, wszyscy potrafili się dostosować.

Innym razem zawieźli mnie do Drumheller, głębokiego kanionu. Krajobraz księżycowy... Z zupełnie płaskich przestrzeni prerii, gdy stanie się nad brzegiem kanionu, nagle wyłaniają się niesamowite kształty – wyrzeźbione przez wodę jakby katedry, kominy; tu i ówdzie leżały skamieniałe pnie powalonych przed milionami lat drzew. W miejscowym muzeum oglądamy szkielety dinozaurów i różnych przedpotopowych zwierząt. W końcu wybraliśmy się do rezerwatu, gdzie wzięliśmy udział w indiańskim rodeo. Po zawodach w dosiadanu dzikich koni czy byków, w rozłożystym wigwamie Indianie rozpoczęli swoje tańce. Wszystko odbywa-

ło się w rytmie ich bębnow i wojennych okrzyków, do koła tańczących podchodzili nowi, tworząc wirujący krąg. Ciarki przechodziły po plecach, kiedy uświadomiłem sobie, że prócz naszych trzech „bładych twarzy” były same „czerwone”, przybrane w idiańskie pióropusze.

Wyprawę do Kanady poprzedziła odbyta pięć lat wcześniej, w 1980 roku, samotna podróż autobusem, wyruszającym co tydzień z Warszawy do Rzymu, i dwutygodniowa gościna w Kolegium Kanadyjskim na via Crescentione, dokąd zostałem zaproszony przez ks. Zbigniewa Burkiciaka, który wówczas tam studiował.

Chodziłem ulicami Rzymu z mapą w ręku, odkrywając znane z historii obiekty. Odwiedziłem też kościół św. Piotra w Okowach, gdzie znajduje się oryginał rzeźby Michała Anioła przedstawiającej Mojżesza. Jej replika od czasów prymicji wędruje ze mną nieustannie. Z Rzymu wyprawilem się do średniowiecznego Asyżu, starorzymskich Pompei i oczywiście na Monte Cassino i cmentarz spoczywających tam naszych żołnierzy. Po drodze, we Florencji odszukałem muzeum ze słynną rzeźbą Dawida autorstwa Michała Anioła. Niezapomniane wrażenie, chyba na każdym, wywiera Wenecja, jedyne w swoim rodzaju miasto z największym salonem świata, jakim jest niewątpliwie plac św. Marka.

Wróciłem jednak do Czerwonaka do swoich codziennych proboszczowskich obowiązków. Wspomniane wyżej wyprawy i późniejsze, po Europie, organizowane przez



Kościół w Czerwonaku – ołtarz w okresie Bożego Narodzenia

ks. Zbigniewa Stępczyńskiego, były tylko przerywnikiem w codziennych zajęciach. Pomagali mi, co prawda, wikariusze: najpierw jeszcze przez trzy miesiące ks. Zbigniew Szyk, następnie przez trzy lata sumienny katecheta ks. Włodzimierz Lisek, wywodzący się z Nowego Tomyśla, a przez dwa lata, lubiący organizować pielgrzymki, ks. Eugeniusz Kiszka. Najdłużej, bo przez siedem lat, wytrzymał ze mną ks. Maksymilian Kamza, z którym mieliśmy wspólnych krewnych, ja po kądzieli, on po mieczu. Kochał młodzież, organizując dla niej często nocne czuwania modlitewne. W stanie wojennym odprawiane były też Msze św. za Ojczyznę. I wreszcie ostatni wikariusz, którego „przekazałem” następcy – ks. Zbigniew



Kościół w Czerwonaku – Pieta z Drogi krzyżowej

Uramowski, również z Nowego Tomyśla. Opracował on bardzo fachowo księgę inwentarzową, do której samemu trudno mi było się zabrać. Wcześniej, bo już po ks. Lisku, była trzyletnia przerwa, gdyż Kuria pozostawiła mnie samego, tłumacząc się brakiem księży. Nie można powiedzieć, abym kiedykolwiek w swojej pracy czuł się osamotniony, miałem przecież organistów, kościelnego, katechetów i cały szereg świeckich, na których zawsze mogłem liczyć i którzy na każde wezwanie śpieszyli z pomocą.

W 1989 roku w Czerwonaku odprawili swoją Mszę św. prymicyjną dwaj dominikanie – Jacek i Stefan Nor-kowscy, którzy po ukończeniu medycyny postanowili zo-stać kapłanami. Byli to ci bracia bliźniacy, których w kilka miesięcy po moich prymicjach chrzciliśmy w domachowskim kościele.

Oczywiście, były też za mojego tu pobytu miejscowe po-wołania. W 1981 roku swoje prymicje miał ks. Piotr Piec, a w roku 1988 do seminarium wstąpił Paweł Smuszkiewicz, w którego prymicyjnej Mszy św. uczestniczyliśmy wraz z pa-rafnią w 1994 roku. Jego ojciec – jako oficer – miał z tego po-wodu kłopoty, które skończyły się wcześniejszą emeryturą.

W 1989 roku cała Polska przeżywała zwycięstwo „Soli-darności” i odzyskanie pełnej niepodległości. Drzwi wolności otwały się nie tylko dla naszej Ojczyzny, ale dzięki nam będą otwierać się dla wszystkich narodów zamkniętych w obo-zie socjalistycznym. Ludzie nie tylko będą się uczyć myśleć w sposób wolny, ale i publicznie wyrażać swoje poglądy, cho-ciaż *homo sovieticus* przez czterdzieści lat formowany w szko-łach, w różnego rodzaju organizacjach, w środkach masowe-go przekazu jeszcze długo będzie tkwił w każdym, kto tu mieszkał, żył i pracował. Dzięki Kościołowi katolickiemu dusza narodu nie do końca została zatruta. W dużej mierze do pełnego wyzwolenia przyczyniły się podróże do Ojczyzny Jana Pawła II i jego odważne wystąpienia.

Zły duch w pewnym momencie nie wytrzymał i, chcąc zamknąć usta Namiestnikowi Chrystusowemu, dokonał 13 maja 1982 roku tragicznego zamachu. Prawda jednak nie dała się zabić i, powoli przenikając do umysłów i serc, dopro-wadziła do wyzwolenia. Nauczanie religii powróciło do szkół. Salki katechetyczne z takim mozołem budowane w Czerwo-naku okażą się do tych celów już nieprzydatne. W głównej salce domu katechetycznego będziemy odtąd organizować co miesiąc jubileusze małżeńskie dla poszczególnych rocz-ników. Grupa pomocników kościoła pod przewodnictwem pani Zofii Matuszewskiej zajmowała się ich przygotowywa-niem od strony gastronomicznej. Spotkania te cieszyły się zawsze dużym powodzeniem. Rozpoczynaliśmy je Mszą św. i Komunią w kościele, a następnie w swobodnej atmosferze odbywało się spotkanie w salce, często przy akompaniamen-cie młodzieżowego zespołu prowadzonego przez pana Sła-womira Bosackiego.

Jako jedni z pierwszych w diecezji, bo już 15 kwietnia 1990 roku rozpoczęliśmy wydawanie gazetki parafialnej pod tytułem „Nasza Winnica”. Cieszyła się bardzo dużym zainte-resowaniem. Wydawana była w nakładzie 500 egzemplarzy, pod redakcją pani Marii Smuszkiewicz.

Sporo pracy miała też grupa zajmująca się sprawami gospodarczymi. W nowo zbudowanej salce pomiędzy domem katechetycznym a plebanią powstała biblioteka parafialna



Czterdziestolecie mojego kapłaństwa, czerwiec 1997 roku

kierowana przez panią Zofię Matuszewską, która do książek przekazanych przeze mnie dokupowała ciągle nowe. Miała pod koniec mego pobytu zarejestrowanych 400 czytelników.

Bardzo ważnej grupie charytatywnej przewodziła pani Kazimiera Skrzypek. W okresie stanu wojennego miała ta grupa dużo pracy ze względu na napływające z zagranicy dary. Poza tym okresem każda z członkiń tej grupy sprawowała opiekę nad potrzebującymi w przydzielonym jej rejonie parafii. Były jeszcze inne grupy, jak np. dekoracyjna, która miała za zadanie przygotować kościół i otoczenie na różne uroczystości. Kiedyś naliczyłem tych grup chyba z piętnaście,

ale były też grupy nie zawsze w pełni aktywne, bo powstające z nakazu odgórnego.

W czasie mego tu duszpasterzowania, 1 października 1985 roku, w 89. roku życia, zmarła moja mama. Z jej śmiercią utraciłem na ziemi stałego orędownika u Boga. Wierzę, że wstawia się za mną nadal w Niebie.

Ze względu na kłopoty ze wzrokiem, które dawały się odczuć w sprawowaniu liturgii i w biurze parafialnym, pojawiła się potrzeba rezygnacji ze sprawowania funkcji proboszcza i przekazania tych zadań młodszemu i bardziej sprawnemu. Poprosiłem więc władze kościelne o przeniesienie mnie w stan spoczynku i pod koniec czerwca 1997 roku, w czterdziestolecie swego kapłaństwa, pożegnałem się z parafią, dziękując wszystkim za możliwość wspólnego wielbienia Boga i podążania Jego drogą przez doczesne życie do wieczności. W słowach pożegnania wyraziłem szczególny żal, że nie będę mógł już razem z całą wspólnotą parafialną przeżywać Roku Liturgicznego, zwłaszcza Wielkiego Tygodnia, a w nim Triduum Sacrum.

Największe przeżycia dla mnie osobiście i myślę, że także dla zebranych, przynosiło każdorazowo Triduum Sacrum, uobecniając Mękę, Śmierć i Zmartwychwstanie naszego Pana. Odchodząc na emeryturę, z konieczności kapłan traci wiele z tych wspólnotowych przeżyć.

EMERYTURA

ZAMYŚLENIA

Pójdźcie na emeryturę albo przeniesienie kapłana w stan spoczynku nie jest bezczynnością. Poprzez przyjęcie święceń kapłańskich każdy z nas został wezwany do służby Kościołowi. Służbę tę pełnią kapłani na różnych stanowiskach pracy duszpasterskiej: na stanowisku wikariusza, proboszcza, biskupa czy wreszcie papieża – Sługi Sług Bożych na Stolicy Apostolskiej. Służba Kościołowi, albo inaczej – Ludowi Bożemu, ma zawsze potrójne oblicze: kapłańskie, nauczycielskie i pasterskie. Służba kapłańska wyrażająca się udzielaniem sakramentów świętych, poprzez które dokonuje się uświęcenie życia ludzkiego od poczęcia do śmierci, uświęcenie każdej ludzkiej działalności, wypełnianie nakazu Stwórcy: „czyńcie sobie ziemię poddaną”, pociąga za sobą odpowiedzialność za wszystkie czynności wykonywane przez

człowieka w stosunku do przyrody. Stąd też potrzeba uświęcenia ludzkiej pracy, by była ona zgodna z wolą Bożą.

Najważniejszą jednak czynnością kapłańską jest uwielbianie Boga poprzez sprawowanie Liturgii Eucharystii w zjednoczeniu z Chrystusem. Bo tylko przez Chrystusa, z Chrystusem i w Chrystusie człowiek może godnie i w sposób właściwy wielbić Boga. I te czynności związane ze służbą kapłańską przypisane są kapłanowi do końca życia. Nawet w tzw. stanie spoczynku, a może właśnie szczególnie w tym stanie, kapłan spokojnie i z większą dojrzałością duchową ją sprawuje. Myślę, że Chrystus da mi tę łaskę, bym do końca swoich dni razem z Nim mógł wielbić Boga, Ojca wszelkiego stworzenia. W Eucharystii jest Ofiara życia, cierpienia i śmierci Najwyższego Kapłana, a z tą Ofiarą każdy kapłan łączy ofiary swojego życia, cierpienia i w końcu śmierci. Im dłużej żyje, tym więcej ma do tego okazji. Z Ofiarą Chrystusa związane jest Jego Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie, daje to nadzieję na przekroczenie progę Pełni Życia.

Służba nauczycielska wyraża się w nauczaniu dzieci, młodzieży czy dorosłych w salkach katechetycznych, szkołach, biurach parafialnych czy z ambon, poprzez homilie i kazania. Potrzebna jest do tego sprawność intelektualna, którą cieszą się ludzie młodzi i w pełni sił. Dlatego też młodym w szczególny sposób powierzana jest funkcja nauczania. Niektórzy z kapłanów, obdarowani większymi zdolnościami, poświęcają całe życie studiowaniu, a potem przekazywaniu

zdobytej wiedzy z katedr uczelni czy w formie książek i rozpraw naukowych.

Podstawą wszelkiego nauczania będzie zawsze Objawienie, które Bóg przekazuje nam w dwojaki sposób: bezpośredni, zawarty w księgach Pisma Świętego, i pośredni, poprzez dzieło przez Niego stworzone. Służba pasterska w różny sposób zobowiązuje każdego kapłana, bo nawet młodzi kapłani mają być przewodnikami dla innych. W większym stopniu służbę pasterską pełnią proboszczowie wobec wspólnoty parafialnej. Powołanie do służby kapłańskiej, nauczycielskiej czy pasterskiej związane jest ściśle z zadaniami, jakie zostały każdemu z osobna powierzone. Większe zadania nakłada się na biskupów, szczególnie diecezjalnych, którzy ponoszą odpowiedzialność za swoją diecezję. Największe ciężary spadają na następcę Chrystusa na ziemi, kolejnego papieża. Nic dziwnego, że złączona jest z tym największa służba wobec całego Ludu Bożego, zarówno kapłańska, jak i nauczycielska czy pasterska. Dlatego też każdy papież określa siebie jako Sługę Sług Bożych.

Emeryt kończy swoją służbę, bo i zadania, które były mu powierzone, zostają z niego zdjęte. Kończy swoją służbę wobec Ludu Bożego, ale nigdy nie kończy jej wobec Boga. Chociaż przekonałem się, że i tu służba nie całkiem odejdzie w zapomnienie.

Idąc na emeryturę, zostałem pozbawiony również przywilejów, jakimi cieszyłem się jako proboszcz. Musiałem

opuścić dom, w którym dotychczas mieszkałem, i wygody, jakie z tą pozycją się łączyły. Dotychczas byłem dla swoich parafian kimś, z kim należało się liczyć, byłem gospodarzem decydującym o wielu sprawach, ode mnie, od mojego pozwolenia, od mojej decyzji wiele zależało. Natomiast z chwilą przejścia w stan spoczynku automatycznie stałem się zależny od wielu ludzi, a także od warunków zewnętrznych. Już nie ja, inni będą za mnie decydować, moi przełożeni, inni kapłani, np. czy mogę odprawić w ich kościele Mszę św., słuchać spowiedzi. Dojdą do tego problemy zdrowotne, coraz większa niedołążność fizyczna czy psychiczna. Aby zachować choć trochę większą swobodę, nie prosiłem o zamieszkanie w Domu Księży Emerytów. Musiałbym żyć w jeszcze większej zależności, takiej, jakiej doznawałem jako kleryk w seminarium. Życie w takim domu zależy i zresztą musi zależeć od z góry ustalonych reguł, dzwonków, nakazów, poleceń czy zakazów.

Wybrałem życie chociaż trochę bardziej niezależne i samodzielne. Trzeba było najpierw pomyśleć, gdzie zamieszkać. Własnego domu nie zbudowałem, pod namiotem można by, ale tylko na krótką metę. Odwiedzałem nieraz znanego mi jeszcze z Puszczy Nadnoteckiej ks. Zbyszka, z którym później pracowałem na wspólnym wikariacie w Nowym Tomyślu. Rozmawialiśmy też często o czasach emeryckich. W 1970 roku otrzymał on parafię w Kuślinie. Miejscowość zbudowali w XIX wieku przybysze z Fryzji, sprowadzani do osuszania

tych terenów. Wszyscy oni uciekli przed zbliżającym się frontem, pozostawiając swoje domy i zabudowania gospodarcze. Pozostawili także kościół zbudowany w stylu neogotyckim w centrum Kuślinia. Na ich miejsce przybyła ludność polska, najczęściej przesiedlona z Kresów Wschodnich.

Wieś nie była duża, ale funkcjonalna – mieścił się w niej Urząd Gminy, miała przychodnię lekarską, aptekę, bank, pocztę, potrzebne sklepy, wszystko w zasięgu ręki, „tuż za płotem” – idealna dla szukającego spokoju emeryta. Miejscowy ksiądz proboszcz kupił od fryzjera dom i dość dużą działkę z zabudowaniami gospodarczymi. Otóż od swojej działki odstąpił mi 400 metrów kwadratowych, i dom, który według niego i jego doradców nie nadawał się do zamieszkania. Miał być rozebrany, dlatego dał mi go za darmo. Po jego obejrzeniu zdecydowałem się na remont. Zbudowany był w większości z gliny na szkielecie z belek; niektóre ściany miał zawilgocone, ponieważ fryzjer zamiast zbudować szambo, wołał przebić ściankę i wsunąć rurkę, przez którą woda wylewała się na zewnątrz, ściekając po ścianie. Dach pokryty był pojedynczą dachówką podbitą w łączach cienkimi drewnianymi klepkami. Sądzę, że dom zbudowano jako jeden z pierwszych na początku XIX wieku, mniej więcej sto osiemdziesiąt lat temu. Myślę, że najpierw pokryty był słomą – potwierdzałyby to wysunięte krokwie dachu. O szczegółach wewnątrz i śmietniku na zewnątrz nie będę wspominał. Czy mogłem się tego wszystkiego przestraszyć? Byłem



„Hilarówka”

przecież do takich widoków przyzwyczajony i w ciągu swego kapłańskiego życia pokonywałem nie takie trudności. Dom został więc wyremontowany, od ulicy odwrócony plecami – wejście jest teraz od strony ogrodu; z małej sieni powstała łazienka; ogrzewanie mam kominkowe. Na śmietniku wyrosły świerki i inne drzewa, a także trochę krzewów. Dziś wyrosnięte drzewa przybliżyły się do domu, tak że powstaje wrażenie mieszkania w lesie. „Niedobrze by było człowiekowi samemu” – powiedział Pan do Adama – i mnie trudno by było samemu, szczególnie inwalidzie pierwszej grupy, któremu zalecono poruszanie się z osobą towarzyszącą. Dobrze więc, że Pani Zofia, która po Franciszce prowadziła mi dom

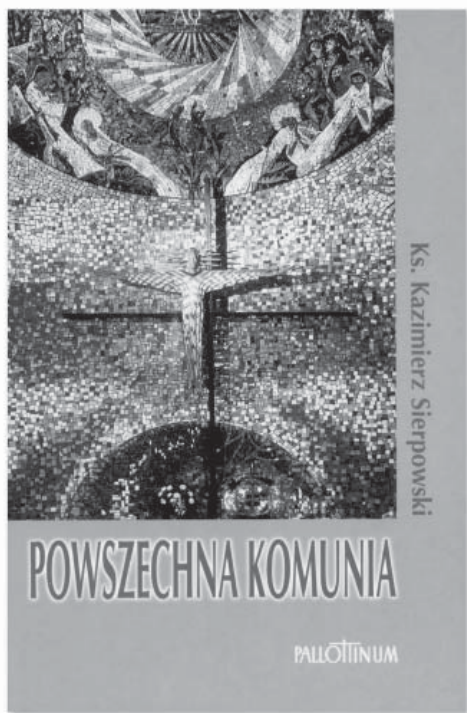
w Czerwonaku, zgodziła się pełnić tę rolę w Kuślinie, zresztą sama nie w pełni sił i przez ZUS zaliczona do tej samej grupy, co i ja. Dzięki niej mam ciepłą strawę, czysty dom i anioła stróża w razie choroby i nie tylko.

Dom przyjął nazwę „Hilarówka”, ponieważ patronuje mu św. Hilary, który od mojego urodzenia jest przy mnie, bo w Jego święto Pan Bóg kazał mi przyjść na świat.

Ktoś ciekawy może zapytać, czy się emeryt nie nudzi i jakie ma zajęcia. Odpowiadam, że co niedzielę odprawiam Mszę św. z ludem w kościele w Michorzewie, ponieważ nauczyłem się części stałych na pamięć. Także w dni powszednie i w każdy pierwszy piątek miesiąca słucham spowiedzi, a jeśli ktoś poprosi, również w innych parafiach. Dzięki temu, że mam trochę więcej czasu, mogłem wypełnić dane memu profesorowi przyrzeczenie i napisać – wydaje mi się – nie całkiem głupią książkę pt. *Powszechna Komunia*. Udowadniam w niej, że zamiarem Boga stwarzającego świat było z wielości stworzyć jedność, i to na różnych poziomach rozwoju. Wszystko, co istnieje, tworzy Powszechną Komunię.

To zjawisko zachodzi również na poziomie życia ludzkiego. Przykładem może być ludzki organizm, który jest komunią połączonych ściśle ze sobą miliardów komórek, tworzących poszczególne części ciała służące całości.

O tej wspólnotce mówi Boże Objawienie także odnośnie do życia społecznego – „aby byli jedno” – jego rozwój ma doprowadzić w końcowej fazie do jedności. Działają tu olbrzymie



Okladka książki „Powszechna Komunia” wydanej przez Pallottinum

siły odśrodkowe, ale Wcielenie Syna Bożego od dwóch tysięcy lat pomaga nam, zwłaszcza poprzez Eucharystię, tworzyć duchową jedność pomiędzy ludźmi. Żyjąc w zgodzie z Rokiem Liturgicznym i korzystając ze środków, które nazywamy sakramentami, człowiek może osiągnąć doskonałość Chrystusa Zmartwychwstałego i razem z Nim przekroczyć próg wieczności. Końcowym etapem będzie osiągnięcie Pleromy i wiecznego z Bogiem obcowania wszystkich zbawionych.



Na emeryturze

Kiedy dziś stoję na progu wieczności, patrząc wstecz na swoje i innych życie, widzę ciągłą walkę sił zła, dążących do rozerwania jedności, z siłami dobra, prowadzącymi tych, którzy poddają się prawu Bożemu, do wzajemnego zbliżenia, co równoznaczne jest ze zbliżeniem się do jedności z Bogiem.

Myślę, że jest to szczególnie ważne w naszych czasach, kiedy człowiek usiłuje zawłaszczyć dzieło Stworzenia, kiedy człowiek manipuluje nim i niszczy je, jakby miał do tego prawo. Żyjemy w zatrutym i zaśmieconym środowisku, zatrute i zaśmiecone są lasy, pola, ziemia, woda, powietrze. Najgorsze, że zatrujemy też to, co najbliższe nam – nasze organizmy i ciała, wprowadzając do nich nikotynę, alkohol, narkotyki, różne, często niepotrzebne lekarstwa. Zachodzi pytanie,

jak w takich organizmach może się rozwijać poczęte życie, a potem przychodzić na świat zdrowy człowiek? Ostatnio pojawiła się moda na foliowanie wszystkiego, co się da. I co z tą folią potem zrobić? Spalić nie wolno, rzucać do wody nie wypada. Zaśmiecać lasy? W ziemi folia rozkładać się będzie czterysta lat.

System gospodarki liberalnej dominujący dziś w świecie ma swoje zalety, ale jeszcze więcej niesie ze sobą zagrożeń, traktuje bowiem wszystko, co nas otacza, jako materiał do przeróbki. I tak nadają się do tego bogactwa naturalne, a także cały świat ożywiony – rośliny, zwierzęta to nic innego jak materiał, który da się jakoś wykorzystać. Mówi się nawet dziś nie o człowieku, ale o zasobach ludzkich, materiale, który też powinien być podporządkowany jednemu celowi, jakim jest zysk. Gospodarka liberalna nie liczy się z prawami natury, wprost przeciwnie – te prawa łamie, jeśli staną jej na drodze. Zwierzęta często odrywa się od natury, zamykając je w odizolowanych fermach, hodując w nienaturalnych warunkach. Natura takiego stosunku do siebie nie toleruje. Klęski żywiołowe, których na naszych oczach doświadcza świat, zwłaszcza kraje najbardziej uprzemysłowione, są najlepszym tego dowodem. Ratunkiem jest powrót do respektowania praw natury i odnoszenie się do całej przyrody z należnym jej szacunkiem. Jedynie taka postawa może uratować świat przed globalną katastrofą. Wymaga to od wszystkich solidarnego działania i zmiany postaw wobec otaczającego świata oraz

większej za niego odpowiedzialności. Może Polska da pod tym względem przykład innym?

Od czasu, kiedy Armstrong stanął na srebrnym globie i, stamtąd patrząc na Ziemię, odczytał fragment Księgi Rodzaju: „Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię” (Rdz 1, 1), wydaje się, że również z tej perspektywy trzeba patrzeć na opis stworzenia świata. Jakże inaczej wówczas, jaśniej, bardziej zrozumiale, zgodnie z przyrodniczym poglądem na świat, wszystko nam się przedstawi. Księga Przyrody odczytywana dziś przez świat nauk przyrodniczych nie stoi w sprzeczności z Księgą Pisma Świętego. Jedna i druga jest bowiem pisana przez tego samego Autora. To, co je odróżnia od siebie, to jedynie zakres prawd objawianych człowiekowi przez Boga, bo tylko do niego Bóg się zwraca, bo tylko on może Słowo Boga zrozumieć i w sposób właściwy odczytać.

Poprzez Księgę Przyrody Bóg mówi do człowieka, że jest, że to On daje początek wszelkiemu istnieniu, że stworzył ten świat w określonym czasie; przez potęgę stworzonego świata mówi o swojej nadprzyrodzonej mocy.

We *Wstępie* do drugiego wydania książki *Powszechna Komunia* napisałem:

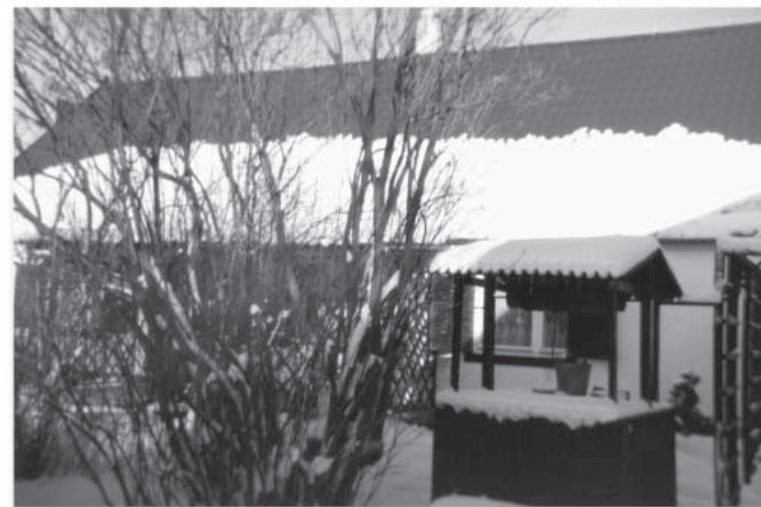
Przedmiotów świeckich uczy się tak, jakby Boga nie było, bez odniesień do Źródła tej wiedzy. Usiłuje się przeciwstawić kreacjonizm ewolucjonizmowi, co więcej, przedstawiając ten ostatni kierunek jako sprzeczny z wiarą. Przypomina to dawny spór,

jaki toczyli zwolennicy teorii Ptolemeusza ze zwolennikami teorii Kopernika. W mojej książce zwracam uwagę ludziom myślącym na ład i porządek świata materialnego, na celowy, ukierunkowany rozwój całej rzeczywistości, na Twórcę tego ładu i na zamierzony przez Niego kierunek rozwoju.

Ewulucjonizm jest kreacjonizmem, ciągłym stwarzaniem i udoskonalaniem otaczającej nas rzeczywistości. Jeśli nawet coś wydaje się przypadkowe, a prowadzi w końcu do celowych skutków, jest rozumne, a więc kierowane przez jakąś myśl kreującą daną rzeczywistość.

Nikt rozsądny nie powie, że z cząsteczek mąki może samoistnie powstać chleb. Potrzebny jest ktoś inteligentny, kto potrafi pokierować całym procesem pieczenia. Podobnie same cząsteczki materii samoistnie nie mogą sprawić, że z nich może powstać coś uporządkowanego, zorganizowanego w sposób przemyślany. Tymczasem o każdym organizmie można powiedzieć, że jest przemyślany.

Cały świat, który od samego początku rozwija się według ściśle określonego planu, pod dyktando określonych praw zwanych prawami natury, mówi, że Bóg jest Kreatorem wszystkiego, że objawia w ten sposób swoją nieskończoną Mądrość. Człowiek, który jest odbiciem tej inteligencji i mądrości, odkrywając prawa przyrody, w sposób bardzo sprytny i coraz bardziej umiętny dostosowuje je do swoich potrzeb i nimi się posługuje.



„Hilarówka” w zimowej szacie

Piękno całego wszechświata i poszczególnych jego rejonów jest również źródłem zachwyty dla oczu niejednego obserwatora i może prowadzić do kontemplowania świata i Tego, który jest jego Stwórcą.

Przypomnijmy sobie okrzyki zachwyty, jakie wrywały się patrzącym na naszą planetę z odległości, z kosmosu. Ukazuje się ona bowiem jako coś niezwykłego, jej błękitne piękno budzi zachwyty, a równocześnie objawia wyjątkowość na tle całego otaczającego ją kosmosu. Nasuwa myśl, że całą naszą planetę, a nie tylko pewne miejsce, można nazwać rajem dla tych, którzy na niej przebywają. W opisanym przez Księgę Rodzaju rajy znajdowały się wszystkie stworzenia razem

z tym wyjątkowym człowiekiem, który będzie nadawał nazwy otaczającej go przyrodzie.

Księga Pisma Świętego, Księga Objawienia bezpośredniego, ukaże człowiekowi prawdy, o których Księga Przyrody nie była w stanie powiedzieć. Na kartach Pisma Świętego objawia się Bóg całkowicie z innej strony. Tutaj dowiadujemy się nie tylko, że Bóg jest, nie tylko objawia się Jego Potęgą, Mądrością, Piękno, ale nade wszystko to, że jest Miłością. Z objawienia bezpośredniego dowiadujemy się, dlaczego istnieje ten świat, a w nim wszystkie stworzenia i na koniec człowiek, że źródłem bytów była i jest miłość.

Z miłości do człowieka powstał cały wszechświat, bo Bóg chciał, aby temu wyjątkowemu stworzeniu, które zdolne będzie odkrywać jego tajemnice, objawiać też tajemnice innego świata, świata nadprzyrodzonego. „Na rozkaz Pana Boga wyrosły z gleby wszelkie drzewa miłe z wyglądu i smaczny owoc rodzące oraz drzewo życia w środku tego ogrodu i drzewo poznania dobra i zła” (Rdz 2, 9).

Z miłości do człowieka ziemia była rajem, w którym wyrosło drzewo życia, a także drzewo poznania dobra i zła; i jedno, i drugie rozwija się i rośnie we wszystkich ludzkich pokoleniach. I uczynił Bóg człowieka odpowiedzialnym za drzewo życia i za drzewo poznania dobra i zła, które jest w każdym z nas, a nazywa się sumieniem. Dzięki sumieniu, które mówi każdemu, co jest dobre, a co złe, co należy czynić, a czego unikać, człowiek miał strzec na naszej planecie drze-



Wiosenne przebudzenie

wa życia, by nie zostało zniszczone i nie zginął on, a z nim całe stworzenie. Dzięki sumieniu także miał być ukierunkowany na dobro, na czynienie dobra. W ten sposób człowiek będzie naśladował Boga.

Kiedy obserwujemy ludzkie dzieje na przestrzeni wieków po czasy nam współczesne, widzimy, jak historia opisana



Mówią o Bogu

w Księdze Rodzaju powtarza się nie tylko w życiu każdego człowieka, ale również w dziejach ludzkości.

Tylko wówczas, kiedy człowiek staje po stronie Boga i Jego prawa, „drzewo życia” kwitnie i owocuje dobrymi osiągnięciami, natomiast kiedy przeciwstawia się Bogu i Jego prawom, życie ludzkie i dzieje ludzkości stają się tragiczne.

O grzechu pierwotnym możemy mówić, że został popełniony przez pierwszych rodziców w chwili, kiedy zdawali sobie już sprawę z tego, co jest dobre, a co złe. Wybrali zaś złó, popełnili więc pierwszy grzech, który nazywamy pierwotnym. Po nim, jak lawina pojawiać się będą następne. Cała nadzieja w Synu Bożym, który w te dzieje wkroczył, by stanąć na czele tych, którzy opowiadają się po stronie Boga, i prowadzić ich do zwycięstwa. W Chrystusie „drzewo życia” ciągle się odradza i chociaż korzeniami swymi tkwi na ziemi, swoją koroną sięga nieba.

Złączenie rzeczy stworzonych ze Stwórcą podkreśla świętość wszystkiego, co wyszło z ręki Boga. Żywioły i energie związane z przyrodą muszą być szanowane jako należące do Ojca Wszelkiego Stworzenia. On pozwala człowiekowi na ich używanie, ale zgodnie z prawem, które z tymi siłami związał i które nie mogą być nadużywane.

Patrząc wstecz na swoje życie, muszę przyznać, że nie było ono łatwe, i to na każdym etapie mego rozwoju fizycznego i duchowego. Dostrzegam równocześnie, że mimo moich niewierności Chrystus nigdy mnie nie opuścił. Od samego początku wyzwalał mnie z tego, co mnie odciągało z obranej drogi. Zresztą i w tę drogę to On mnie wprowadził, bo gdyby nie to moje krotoszyńskie niepowodzenie, nie wiem, gdzie dziś bym był i co dziś bym robił. Wszystko wskazuje na to, że moje życie byłoby zmarnowane. I na drodze życia kapłańskiego nie wszystko było poprawne, mam jednak nadzieję, że

dobro, którego Chrystus przeze mnie dokonał, przeważy zło, którego bez Niego się dopuszczałem. Nie wiem, jak długo Pan Bóg pozwoli mi żyć na tym świecie, ale chciałbym, żeby lata, które jeszcze pozostały, były nieustannym dziękczynieniem Bogu za to, że mogłem z Chrystusem, przez Chrystusa i w Chrystusie przeżywać wielką tajemnicę naszego istnienia, jaką jest życie.

Kiedy jednak wspominam przeżyte lata kapłańskiego życia na tle Roku Liturgicznego, który każdego wierzącego wprowadza w tajemnicę naszej wiary, odczuwam pewien brak. Rok Liturgiczny wiąże bardzo z Osobą Syna Bożego, Jego Narodzinami, głoszeniem Dobrej Nowiny, pozwala przeżyć Jego Mękę, Śmierć, Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie. Zwraca też uwagę na Trzecią Osobę – Ducha Świętego, nawet jest niedziela poświęcona całej Trójcy Świętej. Brakuje jednak dnia poświęconego wyłącznie Pierwszej Osobie – Bogu Ojcu.

Może ktoś powiedzieć, że cześć dla Boga Ojca jest zawarta w całym Roku Liturgicznym, ale tak jak zwraca on szczególną uwagę na ważne wydarzenia związane z Osobą Syna Bożego i Ducha Świętego, wypadałoby poświęcić jeden dzień Osobie Boga Ojca. Wydaje się, że najbardziej odpowiednim dniem poświęconym Bogu Ojcu byłaby pierwsza niedziela Adwentu, która jest początkiem czegoś ważnego, coś otwiera, do czegoś przygotowuje. Święto Chrystusa Króla Wszechświata, który rozlicza się ze swoim stworzeniem,

kończy Rok Liturgiczny. Pierwsza niedziela Adwentu poświęcona Ojcu Wszechrzeczy i Wszelkiego Stworzenia go rozpoczyna. Zwrócenie większej uwagi na Stwórcę tego, co nas otacza, w naszych czasach jest niezwykle ważne. Czy tak będzie, zadecydują inni, w ostateczności Bóg. Zapewne ja będę obchodził to Święto, jeśli taka będzie wola Boża, zupełnie gdzie indziej.

SPIS TREŚCI

| | |
|---|-----|
| Przedmowa | 5 |
| Korzenie | 7 |
| Dzieciństwo. Przeżywanie dobra | 21 |
| Wybuch wojny. Doświadczanie ideologii nazistowskiej | 35 |
| Wysiedlenie | 41 |
| Po powrocie | 65 |
| Doświadczanie zła komunizmu | 77 |
| Powrót do szkoły | 87 |
| Seminarium | 97 |
| Wikariaty | 119 |
| Proboszczowanie | |
| Parafia Gołubin Stary pw. Wniebowzięcia NMP | 145 |
| Parafia Czerwonak pw. Niepokalanego Serca NMP | 167 |
| Emerytura. Zamyślenia | 193 |